

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 30 listopada 1958 r.

IRENA STOKOWSKA

RUDERA na Bałutach

DŁUGI, DREWNIANY PŁOT. OTWARTE DRZWI PORTIERNI, WYŻEJ — TABLICA GŁOSZĄCA, ŻE TU MIESCI SIĘ ZAKŁAD WYCHOWAWCZY NR 2. DO PORTIERA SIEDZĄCEGO ZA WYSOKĄ BARIERKĄ PODCHODZI SZCZUPŁY CHŁOPIEC I ZACZYNA Z NIM Z OŻYWIENIEM ROZMOWĘ. JEDNOCZESNIE POD BARIERKĄ DWÓCH CHŁOPCÓW POSUWA SIĘ NA CZWORAKACH W KIERUNKU WYJŚCIA. DOSZLI DO PROGU, JEDNYM ZGRABNYM RUCHEM PODRYWAJĄ SIĘ I ZNIKAJĄ Z POLA WIDZENIA PORTIERA.

ZE STRÓŻÓWKI DOBIEGAJĄ GŁOSY OŻYWIENEJ ROZMOWY. CHŁOPCY SA JUŻ NA ULICY. ROZEJRZAWSZY SIĘ CZY KTOŚ ICH NIE WIDZIAŁ, SZYBKIM KRO-

KIEM IDĄ W KIERUNKU MIASTA.

Godzina ósma. Wszyscy wychowankowie Zakładu przystępują do normalnych, codziennych zajęć. W jednej z klas nauczycielka stwierdza nieobecność dwóch chłopców. Klasa doskonale wie, że dwaj nieobecni zbliżają się w tej chwili do kina, ale solidarnie milczą.

Pojęcie Zakładu Wychowawczego łączy się zwykle z jakimś jasnym, przestrzennym budynkiem, dużą ilością zieleni, boiskami.

Zakład Wychowawczy dla chłopców zaniedbanych moralnie mieszczący się przy ul. Władysław Bytomskiej nie przypomina niczym tego ro-

DALSZY CIĄG
str. 3

ZDANY NA PRZYPADKI LOSU, JAK MAŁY PAJAK SZYBUJĄCY JESIENIĄ NA SIWEJ NITCE.

„Pamiętam październikową słobną pomrokę. Szedłem pustym, zakutym w beton nadbrzeżem Amuru. W gęstej ciemności nie widać było ani rzeki ani światła miasta, które miałem za chwilę opuścić. Styszałem tylko własne kroki na betonie i głos syreny parostatku. Dźwięk syreny narastał, wzywał, wołał. Przystanęłem. Zastanowiło mnie pytanie, które do tej pory zadawali mi wszyscy. Nie przyjmowałem go, jakby wypowiedane było w zupełnie mi obcym języku.

Czego tu szukam? Po co znów jadę? Dokąd? Jaka siła gna mnie z jednej w drugą stronę świata? Czy warto?..

Była druga w nocy. Zegar w Polsce, w Łodzi wskazywały jedenastą w południe. Od żony, od syna, do domu i przyjaciół dzieliło mnie nie tylko 10 tys. km ale i 9 godzin różnicy w czasie. W imię czego miałem ciągnąć jeszcze dalej na wschód?..

Wołanie syreny dochodziło do mnie jakby zza grubej ściany. Wtem spostrzegłem w dole czerwone światła przystanku. I oświetla

Dokończenie na str. 6



Adam Bednarek

KROŚNIEWICKIE

SKARBYS

Krośniewice są jednym z owych małych, szarych miasteczek, których w Polsce można liczyć na setki. Niskie, przeważnie jednopiętrowe kamieniczki, otaczają dawny, brzydki plac targowy, zastąpiony dziś schludnie utrzymanym zieleniem. Główne ulice choć brukowane „kocimi łbami” stanowią ważne drogi komunikacyjne, łączące Warszawę z Poznaniem i Łódź z Toruniem.

Zajrzyjmy do domu przy Placu Wolności nr 1. Tu mieszka państwo Borkowscy. Właśnie w tym budynku na pierwszym piętrze w trzech niewielkich pokojach znajdują się nieprzebrane skarby. Sam budynek pochodzący z 1803 roku jest dawnym zajazdem wraz z wozownią. Budynek piętrowy, murowany, z wysuniętą częścią fasady, ozdobioną kolumnami. Pilastry w miejsce główne zakończone są herbami. Dach czterospadowy kryty jest dachówką. W domu tym gościł niegdyś Napoleon. Ale wróćmy do naszych skarbow. Są to bogate zbiory numizmatyczne, cenne autografy i dokumenty królewskie, płótna starych mistrzów, rzeźby, porcelana, tkaniny, broń i zbroje. Kolekcja orderów i eksponaty z historii polskiej teatrologii. Biblioteka naukowa liczy około 6.000 tomów. Wszystko to jest udostępnione naukowcom, badaczom i miłośnikom zabytków. Stąd przecież wypożyczono parę obrazów do „Zemsty”.

Tak. Tu na zapadłej prowincji mieści się prawdziwy przyczółek kultury narodowej. Już podczas mojej pierwszej bytności w „krośniewickim muzeum” odniosłem wrażenie, że powstaniu zbiorów towarzyszyła atmosfera rzetelnej pasji, dowód upartych poszukiwań; w procesie samodzielnego pokonywania trudności zrodziła się autentyczność właśnie takiego człowieka jakim jest Jerzy Borkowski. Do walorów tych dochodzi jeszcze niespotykana pogoda ducha. To chyba wystarczy do poznania niespełna 50-letniego pana Borkowskiego, magistra w miejscowej aptece, podpułkownika w stanie spo-

DALSZY CIĄG str. 2

ZBIGNIEW NIENACKI



Podróż na (I)
Daleki Wschód
ZSRR

PRZEBYŁEM PONAD 20 TYSIĘCY KILOMETRÓW. JECHAŁEM PASAŻERSKIM SAMOŁOTEM „IL”, OGROMNYM I SZYBKOBIEŻNYM TU-104, LUKSUSOWYM TRANSZYBERYJSKIM EKSPRESEM, PAROSTATKIEM PO WZBURZONEJ RZECIE KARA-MUREN, DREZYNA, WOJSKOWYM SAMOCHODEM, MALUTKIM „KUKURUŻNIKIEM”. WSPÓLCZESNE ŚRODKI LOKOMOCJI POZWALAŁY MI PRZEMIERZAĆ OGROMNE PRZESTRZENIE, ZMIENIAĆ CZAS I KRAJE PRAWIE TAK SZYBKO JAK PRZERZUCA SIĘ STRONICE PODRÓŻNICZEJ KSIĄŻKI PRZEKAKIWAŁEM Z KLIMATU W KLIMAT. ZE SWITU WCHODZIŁEM OD RAZU W WIECZÓR GUBIĄC DŁUGIE GODZINY DNIA. MIAŁEM DO SWEJ DYSPOZYCJI WSZYSTKIE WSPANIAŁE ŚRODKI TECHNICZNE, KTÓRE WYMYSŁIŁA WSPÓLCZESNA LUDZKOŚĆ. A JEDNAK BYŁEM CHYBA RÓWNIE

**Na tropie
tajem-
niczego
Albazinga**

CHCESZ WYGRAĆ MIESZKANIE?

CZYTAJ

WARUNKI KONKURSU

na str. 8

Chcesz wygrać:

1. Jeden z trzech aparatów radiowych, klawiszowych
2. Radio — „Szarotka”
3. Sprzęt turystyczny
4. Komplet dzieł wybitnych pisarzy

A to jeszcze nie wszystkie nagrody

ODPOWIEDZ NA POWYŻSZE PYTANIA!

NADEŚLIJ ODPOWIEDŹ DO „ODGŁOSÓW”

(w kopercie z napisem „Wielki Konkurs”, na adres: Łódź, Piotrkowska 96, w terminie do 10 grudnia br.)
Niezależnie od tego, czy wygrasz czy nie wygrasz tej nagrody, będziesz mógł uczestniczyć w następnych etapach.

WIELKIEGO KONKURSU „ODGŁOSÓW”,
RADIA I TELEWIZJI.

Na razie nie myśl o nagrodach, które są naprawdę atrakcyjne. Myśl o pytaniach i odpowiedziach.

OTO PYTANIA:

1. Znajdź 5 błędów w jednym z ostatnich numerów „Odgłosów” (38, 39, 40).
2. W którym roku powstała rozgłośnia radiowa w Łodzi?
3. W którym roku uruchomiono Telewizję Łódźską?
4. Jakie jest najstarsze miasto w województwie łódzkim (w jego obecnych granicach) i kiedy zostało założone?
5. Wymień trzy zabytki historyczne w Łodzi.
6. Wymień tytuły pism wydawanych przez Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”.
7. Wymień trzech wybitnych reżyserów filmowych, wychowanków łódzkiej Szkoły Filmowej.
8. Wymień trzech znanych ludzi sztuki (aktorzy, literaci, malarze itp.), którzy opuścili Łódź w ciągu ostatnich trzech lat.
9. Jakie zajmują stanowiska (czym się zajmują) następujący popularni łodzianie: Jadwiga Andrzejewska, Eugeniusz Ajnenkiel, Henryk Czyż, Kazimierz Dejmek, Edward Kaźmierczak, Henryk Szczepański i Jan Szczepański?
10. Ile lat trwa budowa Teatru Narodowego w Łodzi?



ПЕЧАТЬ АЛБАЗИНСКОГО ОСТРОВА



KROŚNIEWICKIE SKARBY

(Dokończenie ze str. 1)

A wszystko zaczęło się od zbierania monet, gdy miał lat siedem, gdy pierwszymi jego przewodnikami po czarowanym świecie byli zacięci antykwariusze ze Świętokrzyskiej w Warszawie: Fiszer, Fiszer i Zimmermann. Następnie przyszła kolej na obrazy. Przecież Bacciarrelli to pradziad magistra Borkowskiego. Potem odznaczanie. Krzyże niewielkie, żelazne z napisem „Boże zbaw Polskę”. Tak krzyż nosiła córka Karola Marksa, otrzymawszy go w podarunku od Polaków — powstańców z 1863 roku.

Pewien Amerykanin ujrawszy kolekcję szpad i rozkaz Tadeusza Kościuszki — sięgnął po książeczkę czekowa. Powstrzymany w porę mocno się zdziwił, że za dolary nie z tych rzeczy w zapadłych Krośniewicach otrzymać nie można.

Idźmy dalej. Dokumentu z kancelarii Jagielly nie dotykajmy. Uszanujmy jego sędziwy wiek. Za to przypatrzymy się inkunabulum, jak wyglądały pierwsze drukowane książki. A tu są listy Zygmunta Augusta, Stefana Czarnieckiego, datowane pod Wiedniem listy Jana Sobieskiego, rękopis Rey-

monta, listy Przybyszewskiego i jego... weksel. Biedny Przybyszewski. Ileż miał on kłopotów finansowych! Wśród ozdoby drobiazgowo księcia Poniatowskiego widać ofiarowaną mu przez jego żołnierzy własnej roboty fajkę. Niesposób jest w jednym reportażu opisać urzekające piękno krośniewickich zbiorów. Zwiedzający bierze udział w prawdziwej uczcie duchowej i przeżywa chwile, których nie potrafi nam dostarczyć żadne muzeum.

Nie należy się więc dziwić, że mgr Borkowski często gości u siebie naukowców, nauczycieli, teatrologów, muzykologów, film polski, wyścigki szkolne.

Zbiory w Krośniewicach nie mają jednak odpowiedniego pomieszczenia. Ekspozycjami wypełnione są szufłady, kufry, a nawet strych.

Podobno mają one otrzymać dobre zabezpieczenie. Ukazała się wtedy w całej kraj, błysną swym pełnym bogactwem. Ale wtedy już nie będzie można owinąć się bębniem, można owinąć się barwnym pasem sluckim i ująć w dłonie piętnastowieczny miecz, jak to jeszcze czyniłem.

ADAM BERNAREK

W następnym numerze

sensacyjna opowieść odcinkowa

p.t.

„NA TYŁACH AFRIKA KORPS”



Nasza szkołka

SAMOTNICA Z NASZEGO MIASTECZKA

Dzisiaj Belfer będzie przepytawać. Na stopnie! Pytanie pierwsze, podstawowe: — Gdzie i kiedy żyjemy?

Proszę nie mówić, że każde dziecko wie. Proszę odpowiadać: w jakiej części świata, który to rok teraz mamy. Solidnie.

— Europa 1953.
Dobrze. Stopień postawę za chwilę.

„Drogi Redaktorze! Jestem już niemłoda, mam 27 lat i mieszkam w małym miasteczku. Nie mam tu rodziny ani krewnych, bo jak skończyłam szkołę handlową zaproponowali mi tu pracę i tak już zostałam. Kiedyś chłopcy o mnie się starali. Nawet kilku. Ale zdawało się mi, że mam czas, że skoro żadnego gorąco nie kocham, to mogę poczekać, aż zjawi się ten wybrany. Jakże bardzo byłam głupia!

Zresztą. Wszystko jedno. Dość, że nie wyszłam zamąż, a teraz już za późno i stąd zaczęła się moja tragedia. Co dzień o trzeciej kończę pracę w biurze, wracam do domu, ugotuję sobie obiad, pozmywam naczynia i co dalej? Co robić? Kładę się z książką (to ostatni mój przyjaciel) na kanapie. Poczytam godzinke, dwie. I co potem? Jest godzina szósta. Kładę się spać przed 11 nie ma po co. Staję sobie przy oknie i tak się gapię. Jeszcze radio sobie nastawię. Ale za bardzo patrzeć przez okno nie można, bo ludzie powiedzą i będą się śmiać, że stara panna się gapie co kto, żeby płotkować. Ze kawalera wypatrzy: tak dzieci krzyczą. Jest u nas kino. Ale nie pójdę, bo nie mam z kim. A u nas to samotnej kobiecie iść nie wypada samej. Bo znaczy, że szuka przygody jakiejś łatwej albo coś. Na spacer też nie pójdę, bo samej się nie chodzi na spacer. Chyba że niedziela, to do kościoła można iść. Do nikogo nie pójdę. Zapraszają mnie ze dwie koleżanki z pracy na imieniny. Ale to dwa razy na rok. Do kawiarni też nie pójdę bo sama nie mogę siedzieć przy stoliku”...

„Wy powiecie, że ja jestem ciapa życiowa, że żadnej znajomości nie mam, ani koleżanki. Ale w biurze wszyscy starsi — mają żony, dzieci, po pracy idą do domu. To samo kobiety. A młodzież, co się zbiera, to już nie dla mnie, bo co ja do nich, a oni do mnie mają. Z żonatym nie pójdę, a mężatka ma dzieci, to nie ma czasu. Z kawalerem albo wdowcem się nie poznam, bo od razu wszyscy powiedzą, że puszczalska jestem i stracę resztę ludzkiej sympatii. A ja-koś żadnej takiej drugiej jak ja nieszczęsnicy nie znam”.

„Wstydy mi, Redaktorze, że do Pana piszę o takich sprawach, ale jak długo można żyć w mroku takiej samotności? Więc myślę, że może akurat przeczyta taka druga jak ja samotnica z naszego miasteczka, to Pan może mi wtedy ten list, to może zaznajomię się i będzie choć do kogo usta otworzyć. Albo chociaż ktoś się zlituje i list do mnie napisze. Bo już myślę, żeby sobie coś zrobić i skończyć z takim życiem...”

„Wstydy mi, Redaktorze, że do Pana piszę o takich sprawach, ale jak długo można żyć w mroku takiej samotności? Więc myślę, że może akurat przeczyta taka druga jak ja samotnica z naszego miasteczka, to Pan może mi wtedy ten list, to może zaznajomię się i będzie choć do kogo usta otworzyć. Albo chociaż ktoś się zlituje i list do mnie napisze. Bo już myślę, żeby sobie coś zrobić i skończyć z takim życiem...”

List podpisany jest pseudonimem. Nazwisko i adres podała Autorka tylko do wiadomości redakcji.

W świetle powyższego, w świetle takich listów nadsyłanych do naszej redakcji i wszystkich redakcji w Polsce pozwolicie, że wstrzymam się z wystawieniem celującego stopnia temu z drogiej moich uczniów, który zabłysnął wiedzą, odpowiadając, że żyjemy w Europie w 1958 roku.

Kazimierz Dziewanowski dumnie pisze, z całym poczuciem wyższości, iż dzieli nas s'co co najmniej lat rozwoju od krajów Bliskiego Wschodu z jego nędzą i jego haaremami.

Krzysztof Wolicki w pełnym takcie i myślowej głębi reportażu, zamieszczonym w „Nowej Kulturze”, namawiał proboszczów całej Polski do unowocześnienia głoszonych pojęć etycznych i edukowania w tym kierunku armii dewotek.

A ja siedzę nad zacytowanym listem. Siedzę i kojarzę jego zawartość z wieloma godnymi połowy XX wieku słowami pisanymi. Bo w końcu...

Wszędzie na świecie trafiają się ludzie samotni w tym najdosłowniejszym z

sensów. Samotność taka nie stanowi problemu, który celowe byłoby podejmować w publicystycznych rozważaniach. Czyż jednak chodzi tu o samotność ludzką? Jeśli tak, to w każdym razie o dosyć specyficzną samotność — ograniczenie podstawowych ludzkich wolności, właściwych naszemu wiekowi i geograficznemu położeniu.

Autorce listu nie wolno: iść do kina lub kawiarni, stykać się z ludźmi, wychodzić na ulicę bez jasno określonego celu, który ogólnie byłby znany, sprawdzany i sprawdzalny (np. zakupy, praca, kościół). Analogia z owym wschodnim haremem narzuca się sama przez się. Regula polskiego miasteczka niczym nie różni się od reguły haremu lub klasztoru. Ów brak krak i zamków u drzwi jest iluzoryczny.

Teoretycznie biorąc można się wytłamać. Iść z wdowcem na kawę, samotnie do kina lub na spacer, urządzić kołacyjkę i sprosić młodzież, która dla napitku przyjdzie do owej „starszej” (27-letniej!) kobiety.

Praktycznie, jeśli nawet założymy, że naszą bohaterkę stać na tak „straszliwą ekstrawagancję” to ciągnąc „wybryków” nie polepszy jej sytuacji. Pogorszy ją. Stworzy wyobcowanie absolutne.

Autorka listu apeluje do Redaktora. Wolicki do proboszczów i dewotek. A Belfer?

Można zaproponować uciśnięcie ostatnio aktywnym „odnowy moralnej” zebraniem w sprawie terroru obyczajowego na prowincji. Można postulować stworzenie Ligi, Stowarzyszenia, Karty Wolności Chodzenia na Spacer i Patrzenia przez Okno...

Wszystko to wszakże nie znaczy, że musimy być, że powinniśmy być absolutnie beznadni. I kilka słów na ten temat pozwolę sobie wypowiedzieć za tydzień.

Na razie pozostaje mi cieszyć się z europejskiej dumy Kazimierza Dziewanowskiego i wstrzymać się z wystawianiem stopni moim uczniom za podstawowe wiadomości z dziedziny miejsca i czasu, w którym żyjemy.

BELFER

JACEK LEBEN

Światowy rekord skoku w... przyszłość

Niewielu jest w naszym kraju ludzi, którzy lubią lekturę w postaci planów gospodarczych. Któż chętnie czyta nieskończone długie tabele cyfr, porównań i procentów? Sam wolełoby dobry romans do poduszki. Niekiedy jednak plany i cyfry mają pasjonującą wymowę nie tylko dla buchalterów i twórców elektronowych mózgów, nie tyła dla polityków, lecz i ludzi interesujących się polityką.

Można to powiedzieć np. w odniesieniu do opublikowanych ostatnio też w sprawie radzieckiego planu 7-letniego, 7 bitych stron „Prawy” czy „Izwestii” zajęły te tezy. Całą stroną „Trybuny Ludu” zajęło ich pobieżne streszczenie. Po drugiej stronie Oceanu „New York Times” wysunął główne założenia planu na tytułową kolumnę. Reszta

najpoważniejszych amerykańskich i europejskich gazet poszła za jego przykładem. To są wymowne fakty. Nieprzypadkowo przecież stwierdzamy, że prasa zachodnia goni za sensacją. A więc mamy sensację, rzeczywistość sensacją na miarę światową.

A oto jej treść: za 7 lat Związek Radziecki prześcignie w produkcji na głowę ludności produkujące kraje kapitalistyczne Europy, a więc również Niemiecką Republikę Federalną, W. Brytanię i Szwecję. W podstawowych działach Związek Radziecki zbliży się do poziomu produkcji Stanów Zjednoczonych, osiągając jej przypuszczalny poziom (w produkcji na głowę ludności) już w roku 1970.

Sceptyk, a sceptyków nie mało w naszym kraju, machnie chyba teraz z lekceważeniem ręką. Stwierdzi głośno lub w duchu, zaleźnie od okoliczności — „E tam, znów ta produkcja węgla, stali i obrabiarek na głowę. Nawet w komunizmie nie wynajda chyba sposobu, żeby można się było

najeść węglem i obrabiarkami, ubrać się w stal i popić energią elektryczną”.

Na to rzec można — cierpliwości, poczekajcie co będzie dalej. Otóż w ciągu najbliższego 7-letnia 60 mln ludzi w miastach zamieszka w nowych mieszkaniach, a na wsi zbudowanych zostanie 8 mln nowych domów mieszkalnych. W ciągu najbliższych 2 lat wszyscy urzędnicy i robotnicy przejdą na 7-6-godzinny dzień pracy, a do roku 1962 wszyscy pracować będą po 5 dni w tygodniu. Przeszło 2-krotnie wzrośnie sprzedaż artykułów spożywczych, przeszło 5-krotnie sprzedaż lodówek, prawie 9-krotnie pralek, 4,5-krotnie telewizorów. Wielokrotnie większa będzie produkcja i sprzedaż odzieży i obuwia.

No i cóż teraz rzeknie sceptyk? Oczywiście, możesz znów machnąć z lekceważeniem ręką. Od cyfr bowiem do butów i żółtego sera to jeszcze kawał drogi. Znamy przecież te plany, znamy.

Wiem jednak dobrze, że wielu sceptyków lubi kory-

gować swoje własne poglądy z tymi głoszonymi na Zachodzie, na bliższym czy dalszym Zachodzie. A w związku z tym warto zauważyć, że i na tym najdalszym, najczystszy Zachodzie, w samym sercu Zachodu — w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nie machnięto z lekceważeniem ręką na tezy Chruszczowa. A machnięto by z przyjemnością. Po ogłoszeniu pierwszej 5-latk machał z lekceważeniem nie tylko rękami. Po ogłoszeniu drugiej też. Po II wojnie światowej jeszcze machnęli sobie od czasu do czasu, tak, raczej z przyzwyczajenia. No i dlatego, że machanie ręką, to jeszcze najłatwiejszy sposób niedostrzegania prawdy. A teraz, kiedy ogłoszone plany, które określają dokładnie datę dogonienia Stanów Zjednoczonych w produkcji na głowę ludności, nie machają w ogóle. Wprost przeciwnie — marszczą brwi i myślą: chyba prawdziwe są te słowa Chruszczowa. Tak samo jak prawdziwe były wszystkie zapowiedzi Związku Radzieckiego w przeszłości.

Specjalista od spraw radzieckich Harry Schwartz zamieszcza obszerną analizę nowego planu radzieckiego. Schwartz nie podaje w wą-

pliwość ani jednej liczby tego planu. Wymienia on natomiast aktywa Związku Radzieckiego a więc ogromne zasoby bogactw naturalnych, które „znacznie przewyższają zasoby USA. Jeżeli chodzi o rudę żelazną, ropę naftową, bauxyt, węgiel i wiele innych surowców Związek Radziecki posiada bazę, która umożliwia nawet i większą produkcję niż ta, jaką przewidziano w planie 7-letnim”.

Po trzecie: „Związek Radziecki jest dzisiaj jednym z najbardziej zaawansowanych technicznie krajów na świecie. Nie może być wątpliwości, że premier Chruszczow zamierza rzucić do walki najbardziej nowoczesną technologię — od fabryk zautomatyzowanych kierowanych przez mózgi elektroniczne do fizyki nuklearnej — by podnieść szybkość wydajność pracy i produkcję”.

Po trzecie: „Związek Radziecki ma do swojej dyspozycji wielką siłę roboczą; ludność Związku Radzieckiego — pisał Schwartz — jest dzisiaj bardziej wykształcona i potencjalnie bardziej produktywna niż kiedykolwiek w historii Rosji”.

Schwartz notuje jeszcze

fakt zdumiewająco szybko wzrostu produkcji rolniczej, stwierdzając: „rolnicy Rosji nie produkowali nigdy tak wiele towarów jak w latach ostatnich, zwłaszcza w roku 1956 i w roku bieżącym”.

Wreszcie Schwartz stwierdza w konkluzji: „Wydaje się, że ekonomika radziecka nie podlega recesji ani depresji, które w historycznym sensie przerywały postęp krajów niekomunistycznych. Począwszy od roku 1946 przemysł radziecki produkował każdego roku więcej niż w roku poprzednim i obecnie nie ma powodów przypuszczać, że ten stały ruch napróżd nie będzie kontynuowany”.

Wyprzedzam twoje pytanie, sceptyku. Schwartz nie jest komunistą — jak najbardziej nie jest komunistą. Jest jednym z najbardziej cenionych w USA burżuazyjnych specjalistów od „spraw komunistycznych”.

Od siebie już pragnę skromnie zauważyć dwa następujące fakty. 40 lat temu Związek Radziecki był opóźniony w stosunku do produkujących krajów kapitalistycznych o pół wieku. W ciągu 40 lat 20 lat przypada na wojny i naprawianie szkód przez nie wyrządzonych.

RUDERA na Bałutach

(Dokończenie ze str. 1)

Fot. Stefan Michałowski



dzaju instytucji, pokazywanych na kronikach filmowych lub planszach propagandowych.

Zakład powołano do życia w 1948 roku. Przebywa tu młodzież, której rodziców pozbawił Sąd prawa opieki nad dziećmi, młodzież skierowana do Zakładu przez Sąd za drobne wykroczenia, jednym słowem jednostki zaniedbane moralnie i nie przystosowane do życia w społeczeństwie.

Gość odwiedzający Zakład zastanawia się, jak w warunkach urągających pod stawom higieny można wychowywać młodzież. I dlatego odpowiednie instytucje nie zrobiły nic by znaleźć odpowiedni budynek dla tego ważnego obiektu wychowawczego.

W skład Zakładu wchodzi trzy budynki — rudery: brązowy drewniak i murywany „biały budynek”, w którym mieści się Zasadnicza Szkoła Zawodowa i internat. Wreszcie kompleks zabudowań biurowych i gospodarczych. Wszystko w stanie godnym pożalowania. Trzeba zresztą przyznać, że wszędzie widać wysiłek w utrzymaniu estetyki zewnętrznej, ale żadne wysiłki nie są w stanie pokryć dawnych zaniedbań i grzyba toczącego budynek.

Stan zewnętrzny zabudowań to jeszcze fraszka w porównaniu z tym, co się dzieje wewnątrz.

Na drugim piętrze „centralnego” budynku mieści się internat. Sale, przerebione na 8-10-osobowe sypialnie, są ponure i wilgotne, potworna ciasnota.

Wszędzie zimno i zapach spalenizny. W Zakładzie nie tylko brak centralnego ogrzewania, ale nie ma tu nawet odpowiednich przewodów kominowych. Pomieszczenia ogrzewane są przy pomocy pięćdziesięciu piecyków, a jednak nie mo-

żna utrzymać odpowiedniej temperatury. Ciągłe kopci się, kurzy, trudno utrzymać czystość.

Ciasnota panuje i na pierwszym piętrze budynku szkolnego. Pięć izb — w szkole przebywa około 100 chłopców — wygospodarowano dosłownie cudem. Z braku miejsca nie ma w szkole odpowiedniej pracowni.

MŁODZIEŻ TĘSKNI...

Małeńki, wąski pokój. Pod ścianą regał z czasopismami, na środku jeden stół i cztery krzesła. Wszystkie miejsca przy stoliku zajęte. Pod ścianami na podłodze leżą chłopcy. Przeglądają ilustrowane tygodniki. Pochłonięci lekturą nie zwracają uwagi na niewygodę. Wolne pozostało tylko waziatki przejście do regalów.

Oto obraz zakładowej „czytelni”. Biblioteka ciesząca się dużym powodzeniem wśród chłopców, ma do swojej dyspozycji dwa małeńkie, wąskie pokoiki: w jednym mieści się księgozbiór, a w drugim „czytelnia”.

Na zajęcia popołudniowe także nie ma miejsca. Odbywają się one w izbach lekcyjnych, co powoduje zamieszanie i doprowadza do konfliktów między szkołą a internatem.

W takich warunkach, w długie jesienne popołudnia młodzież leży skwaszona, tęsknie wyglądając na ruchliwą ulicę.

Mimo że Zakład ma tak mało miejsca, do tej pory na terenie internatu mieszka 13 prywatnych lokatorów. Nie mówiąc już o tym jak bardzo zwołnienie tych lokali ułatwiłoby sytuację Zakładu, trzeba stwierdzić, że obecność obcych ludzi na terenie placówki stwarza poważne trudności wychowawcze. Młodzież jest częstym świadkiem libacji, awantur, późnych powrotów młodych ludzi (nie samych) do domów. Przyglądają się, komentują, wyciągają wnioski. Zdarzyło się, że wychowankowie uczestniczyli w „przyjęciach”.

Kierownictwo Zakładu wielokrotnie starało się o usunięcie lokatorów z posesji, ale nie odniosło to żadnego skutku. Brak mieszkań.

NOSIMY WODĘ

W całym Zakładzie spokój. Z dołu dobiega kłopot maszyny do pisania i odległy stukot młotków. Po tablicach skrzypi kreda.

Nastrój pracy. Nagły, ostry krzyk przerywa ciszę.

— Wooda!

W jednej chwili cały Zakład wrze. Ogłuszający tupot trzepów. Kto żyw, młodzień, wychowawcy, a nawet dyrektor chwytają jakiekolwiek naczynie i biegnie po wodę.

Przyjechał beczkowóz.

Takie wydarzenie rozbijające normalny tryb zajęć nie należy do rzadkości. Zakład jest zupełnie pozbawiony wody. Wprawdzie istnieje lokalna studnia, ale by woda z niej nadawała się do użytku trzeba ją trzykrotnie gotować. O dobrym umyciu się czy praniu nie ma mowy. Zmuszeni koniecznością wychowankowie raz z wychowawcami chodzą po wodę aż do miej-

skiego źródła na Bałuckim Rynku. Jeśli zdarzy się, że przyjedzie beczkowóz, a zajężdza bardzo rzadko (kierowca uważa, że z Wł. Bytomskiej na Bałucki Rynek jest blisko), wtedy sprawa jest uproszczona, ale czy na pewno?

Od początku swego istnienia Zakład walczy w DBOR o podłączenie go do sieci miejskiej. DBOR nie wyraża zgody, gdyż jak twierdzi z roku na rok, budynki w najbliższym czasie będą zburzone, więc taka inwestycja nie ma sensu. I tak mijają z sensem lata.

Przeprowadzenie kanalizacji do Zakładu nie wymaga jakiegos specjalnego wysiłku, gdyż na ul. Bytomskiej znajduje się główny kolektor kanalizacyjny, a wodociągowy jest oddalony od budynków o 40 metrów. Niski teren podwórza szkolnego sprawia, że woda zalewa piwnice, a na dziedzińcu zamiast żwiru leży lepka maź. Aby zaoszczędzić butów chłopcy chodzą w trepach.

WYCHOWUJMY I SPRZĄTAJMY

Gdyby zapytano wychowawcę internatu na czym polega jego praca w Zakładzie byłby bardzo zakłopotany. Trudno przyznać się pedagogowi, że spełnia funkcje sprzątaczek. Grono wychowawców w Zakładzie Nr 2 stanęło wobec trudnego problemu — co jest ważniejsze: czystość, ciepło, estetyka, czy oddziaływanie wychowawcze?

Wybrano złoty środek: Wychowujmy i sprzątajmy. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak personelu gospodarczego. Pracująca tu sprzątaczką zarabia 550 zł miesięcznie, podczas gdy za tę samą pracę w dużo lepszych warunkach otrzymaby 800 zł w innej instytucji.

Wychowawcy sami palą w piecach (chłopcy mogliby zaproszyć ogień, a w wypadku pożaru brak wody), sami wynoszą kubły, sami noszą wodę.

Czy w takich warunkach można mówić o normalnej pracy wychowawczej?

BRAK, BRAK, BRAK...

Blade, jesienne popołudnie. Chłopcy sennie snują się po korytarzach. Nie mają co z sobą zrobić. Rozsądza ich nadmiar sił witalnych. Są dziwnie poirytowani. Co chwila wybucha jakaś sprzeczka. Co z sobą zrobić? Wszędzie ciemno i tłok.

Boiska nie ma — brak placu.

Świetlicy nie ma — brak pomieszczenia.

O telewizorze — nie ma co marzyć.

Jest wprawdzie sala gimnastyczna, przerebiona z kinowej, ale nie można w niej ćwiczyć z powodu braku urządzeń ogrzewniczych.

Cóż z sobą począć w takie wolne popołudnie?

Z daleka aż korci barwny, rojny tłum na Bałuckim Rynku — żeby tak wylecieć!

A może do kina? — e-e-e nie puszczą. Zresztą trzeba pisać specjalne podanie o przepustkę.

A wyjść na „lewo”?

Mniej „odważni” lękają się konsekwencji. A poza tym brak forsy.

Cóż pozostaje? — drętwo tępić w nudzie. A miasto ciągnie...

Zakład mieści się w ruchliwym punkcie, tuż przy Bałuckim Rynku, a ponieważ nie ma możliwości stworzenia młodzieży rozrywek, wyzwała w niej pęd do życia wielkomiejskiego, chęć poznania „nieznanego”. Zdarzające się na terenie Zakładu wypadki kradzieży mają ścisły związek z Bałuckim Rynkiem. Tu jest zbyt, tu się dostanie pieniądza na rozrywki i słodycze.

Chłopcy z utęsknieniem wyglądają niedzieli. Dostają wtedy zezwolenie na wyjście do miasta, na odwiedzenie rodziny. I oto nowy szkopol. Z tymi odwiedzinami różnie bywa. Zdarza się, że chłopcy wracają z domów podpi, że spóźniają się. Częste kontakty z domem demoralizują chłopców. Niedawno kilku wychowanków Zakładu Nr 2 znaleziono w melinie na Dworcu Kaliskim.

CO ROBIĆ?

Jeśli państwo inwestuje poważne sumy na wychowanie jednostek zaniedbanych moralnie, władze lokalne obowiązane są zrobić wszystko, aby te jednostki miały możliwie dobre warunki życia, a ich wychowawcy zajmowali się przede wszystkim wychowaniem.

W Zakładzie Nr 2 nie ma warunków sprzyjających rozwojowi.

Od kilku lat DBOR twierdzi, że w najbliższym czasie się posesja przy ul. Władzy Bytomskiej zostanie rozebrana i staną tam nowe bloki. Zakład miał się urządzać tylko „na najbliższy rok”. W październiku br. Zakład otrzymał pismo od DBOR, że budynki jego w najbliższych latach nie będą burzone. Budowa nowego Zakładu przewidziana jest dopiero za 3-4 lata.

W obecnych warunkach młodzież nie może przebywać. Jeśli w ramach Milenium bedziemy budować nowe szkoły to powinny znaleźć się fundusze na to, aby w najbliższym czasie na periferiach Łodzi stanął odpowiednio wyposażony budynek dla Zakładu Wychowawczego. Do chwili otrzymania nowego budynku należy w najbliższym czasie przyłączyć posesję przy ul. Władzy Bytomskiej do sieci miejskiej. Aby zapewnić Zakładowi odpowiedni personel wychowawczy należy podnieść uposażenia do wysokości stawek w zakładach przemysłowych lub dać jakiś specjalny dodatek.

Zakład powinien mieć choćby telewizor. Jeśli Ministerstwo Oświaty nie ma na to pieniędzy, nie trzeba zwracać się aż do którejś z śląskich kopalń o podarunek. Należy wprowadzić częściową odpłatność za przebywanie w Zakładzie przynajmniej w stosunku do tych dzieci, których rodzicom warunki materialne pozwalają na to. Fundusz ten można przeznaczyć na poprawę warunków bytowych i uatrakcyjnienie życia młodzieży...

Zresztą chłopcy sami potrafią zapracować na telewizor, choćby przy odśnieżaniu miasta. Na pewno zrobią to chętnie.

KOŃCZYMY DZIEŃ

Zbliża się kolacja. W jadalni komplet chłopców. Są i poranni wagarowicze. Czeka już na nich wychowawcy. Po kolacji wzywają ich na „rozmówkę”. Chłopcy długo i zawile tłumaczą dlaczego uciekli. Chcieli zobaczyć nowe filmy i pochodzić po mieście. Pierwszemu wychowawców nie sprawiają na nich specjalnego wrażenia. Wiedzą swoje. Pod koniec rozmowy dyrektor każe napisać uciekinierom podanie usprawiedliwiające.

Niechętnie siadają do pisania.

„Dnia... o godz. 7.55 oddaliłem się z Zakładu Wychowawczego nr 2 bez zezwolenia, bo mi się nie chciało robić”. Następuje podpis.

— Tylko tyle? — pyta kierowniczką szkoły. — Nie macie żadnych postanowień na przyszłość?

— Nie — pada krótka odpowiedź.

DOKTRYNA ZAGŁADY

(na marginesie amerykańskiej doktryny zmasowanego odwetu)

Eksperci 10 państw

rozpoczęli w Genewie obrady w sprawie zapobieżenia nagłym atakom

GENEWA (PAP). — W poniedziałek o godz. 12 rozpoczęły się w Pałacu Narodów w Genewie obrady konferencji ekspertów w sprawie zapobieżenia niespodzie-

„Ostatecznie wojna polega na zabijaniu. Czy nie jest więc obojętne w jaki sposób i jakimi środkami będziemy osiągać ten cel?”
„Jeśli już konflikt musi być rozstrzygnięty na drodze wojennej, niechaj sposób jej prowadzenia zaoszczędzi cierpień milionom ludzi cierpienia cywilnej”.

„Czyż nie pojęliście jeszcze tej najoczywistszej prawdy: najtańsza wojna jest tysiącokrotnie droższa od pokoju zachowanego kosztem największych wyrzeczeń”.

Co to jest doktryna wojenna i czego uczy jej dzieje

O sposobie prowadzenia wojny decyduje stan techniczny epoki i doktryna wojenna. Te dwa elementy niekoniecznie pozostają z sobą w harmonii. W historii wojen narodzinom nowej doktryny towarzyszyły zawsze rewelacyjne zwycięstwa jej twórców. Hannibal pobił na głowie równych technicznie i nieco liczniejszych Rzymian, stosując po raz pierwszy dwuskrzydłowy manewr okrążający przy pomocy lekkiej jazdy (znany w strategii do dziś pod nazwą „chwytu canneńskiego”). Napoleon stosował z powodzeniem „operacje rozdzielające”, nie wahając się koncentrować całej swej artylerii w jednym, nieważnym punkcie natarcia, gdy jego przeciwnicy, uparcie holdując doktrynie „równomier-

nego wsparcia artyleryjskiego” ulegali, mając nawet dwukrotną przewagę ludzi i sprzętu. Generał Guiderian pobił w 1940 r. Francuzów i Anglików skoncentrowanym uderzeniem wielkich jednostek pancernych, w sytuacji, gdy jego przeciwnicy mieli 20 proc. więcej czołgów o co najmniej równych walorach technicznych.

W trakcie II wojny alianci wypracowali „doktrynę wojny lotniczej” — czyniąc lotnictwo autonomicznym rodzajem broni, przeznaczonym do „strategicznych bombardowań”. Niemcy określili tę doktrynę krótko: „Luftterror”. Nawiasem mówiąc oni właśnie mieli najmniej moralnego prawa, żeby rozdzierać szaty. Faktem jest, że określili ją trafnie.

„Eksperyment Bikini” i doktryna klasyczno-atomowa

Eksplozja pierwszej bomby atomowej spowodowała większy szok u zwycięzców niż u pokonanych. Pokonani mieli w tym momencie przed sobą już tylko perspektywę mniej lub więcej upokarzającego pokoju. Zwycięzcy — perspektywę gruntownego zrewidowania skomplikowanego systemu swych wojennych teorii. W sztabach amerykańskich zawrzało. Starły się namietnie dziesiątki poglądów i opinii na temat sposobu prowadzenia wojny. W rezultacie postawiono szereg hipotez, których sprawdzeniem miała być próba, odpowiednio zaizolowana eksplozja atomowa. Nastąpiła ona w 1946 roku na atolu Bikini. Ściągnięto tu resztki japońskiej floty wojennej, pobudowano różne schrony, wprowadzono wreszcie zwierzęta zapatrzone w przeciwradioktywne skałki. Nastąpił wybuch i... wielka konsternacja. Czy bomba była „za

mała”, czy posiadała jakiś błąd techniczny — w każdym razie nie spełniła oczekiwań oredowników „atomowej doktryny”. Zatonął tylko jeden mały niszczyciel, schrony wytrzymały wybuch, a świnie i kozy doskonale zniosły „radioktywny deszcz”. Niektórzy komentatorzy próbowali nawet na marginesie tego eksperymentu udowodnić, że straty Hiroszimy byłyby przynajmniej dziesięciokrotnie mniejsze, gdyby jej ludność była przygotowana na atak. Być może.

Wkrótce Departament Obrony (ministerstwo wojny USA) oficjalnie ogłosił, że w amerykańskiej doktrynie wojennej nie nastąpią żadne poważniejsze zmiany. Świat odetchnął z ulgą. Bomba atomowa pochopnie wpisana została na listę broni o „wątpliwej skuteczności i obywatelskiej szkodliwości” — na drugim miejscu za gazami trującymi.

Od lotniczego terroru do doktryny atomowej zagłady

Wszakże w amerykańskiej doktrynie wojennej wciąż torowała sobie drogę „doktryna wojny lotniczej”. Wyemancypowane w czasie II wojny siły lotnicze, wsławnie „strategicznymi bombardowaniami” otwartych miast, sięgnęły po koronę „królowej broni”. Koronę tę niepodzielnie od wieków dzierżyła piechota, która „zdobywa i utrzymuje teren”. Jeżeli bowiem można by w ogóle mówić o sensie prowadzenia wojny, to zawieraliby się one w efektach zdobycia i utrzymania terenu. No, i oczywiście przy takim założeniu każda inna broń ma tylko pomóc piechocie. Również broń atomowa. Rzecz jasna wtedy,

kiedy w zbrojeniach jest pięć, dziesięć, no, powiedzmy, sto bomb. Ale ilość przechodzi w jakość. W tym wypadku nie wiadomo przy jakiej liczbie, ale na pewno przechodzi.

Około 1950 r. przedostała się do opinii publicznej pierwsza wersja gotowej doktryny atomowo-klasycznej. Jej charakterystyczną cechą było to, że role piechoty i lotnictwa stały się równorzędne. Lotnictwo wyznaczało piechocie obszar działania i odgradzało go „pasem radioaktywnym”. Ten „pas radioaktywny” to miały być gęste zrzuty bomb atomowych, stwarzające nieprzekraczalną strefę. Przez tę strefę nie mógłby przejść

żaden transport ludzi ani sprzętu. Oczywiście radioaktywność jest ograniczona w czasie. Ten czas miał jednak wystarczyć piechocie dla „oczyszczenia” wydzielonego obszaru z wojsk nieprzyjacielskich. I tak dalej...

Produkcja bomb atomowych i — już wówczas — nuklearnych stale rosła. Szaleńczy wysięg zbrojeń przyspieszał ewolucję doktryny. Wreszcie w 1954 r. lotnictwo amerykańskie otrzymało oficjalnie koronę „królowej broni”. Stało się bronią rozstrzygającą. Inne miały mu tylko ew. pomagać. Zresztą — po co zadawać sobie trud zdobywania terenu, jeśli prze-

ciwnika można tak gruntownie zniszczyć, że nie będzie miał podstaw egzystencji...

Obecnie fachowcy obliczają, że zbrojenia lotnicze pochłaniają od 80 do 95 proc. budżetu wojennego USA (po odliczeniu zbrojeń atomowych) Oblicza się również, że w obecnej armii amerykańskiej i w jej schemacie mobilizacyjnym od 60 do 80 proc. ludzi angażują siły lotnicze.

Jakaż jest doktryna wojenna, która odrzuca tradycyjny cel zdobycia i utrzymania terenu, oddając prymat broni masowej zniszczenia? JEST TO DOKTRYNA ZAGŁADY!

Odwet czy atak?

Zbyt wstrząsające musiały być ogłoszenie takiej doktryny wojennej, aby jej autorzy nie pokusili się o odpowiedni komentarz. Komentarz więc brzmi: „Zaatakowani, odpowiemy natchyniast zmasowanym odwetem, który zniszczy przeciwnika i zmusi go do kapitulacji w dniu następnym”.

Prasa pisała już o tym, w jaki sposób Amerykanie zorganizowali ów system „odwetowy”. Wiadomo, że bezu-

stannie, dzień i noc, około tysiąca naddźwiękowych czteromotorowców „Convair B-58” z bombami nuklearnymi na pokładzie znajduje się w powietrzu, oczekując sfirowanego rozkazu, który skierowałby je ku granicom państw „paktu warszawskiego”. Wiadomo, że w ciągu kilkunastu godzin od chwili „interwencji systemu odwetowego” wystartują dalsze tysiące, a może dziesiątki tysięcy maszyn, aby dokonać

absolutnej zagłady przeciwnika, nawet w wypadku, gdyby do celu docierał tylko znikomy procent bombowców. Tak, nawet w takim wypadku!

Potwierdzenie tej doktryny znalazło swój wyraz w podziale ról sił zbrojnych NATO (pakt atlantycki). Ogromne Stany Zjednoczone biorą na siebie tylko akcję lotniczą o charakterze strategicznym; Anglia — osłone zaplecza i lotnictwo wspierające; pozostali kontrahenci — siły lądowe.

Pisała również pręga o niebezpieczeństwie przypadkowego rozpetania wojny, tkwiącego w amerykańskim „systemie odwetowym”. Zakłócenia w odbiorze radiolokacyjnym, zablakana rakietą czy samolot — mogą uruchomić „atak odwetowy”. Niewspółmiernie jednak większe jest niebezpieczeństwo świadomego ataku. Rozkazy bowiem wydają pojedynczy

ludzie. Nawet jeśli są to ludzie dobrej woli i jeśli wierzą, że ich doktryna jest rzeczywiście „zabezpieczeniem”, „odwetem”, to historyczny stan, jaki wprowadzała permanentnym przygotowaniem atomowym, może spowodować, że sami zleknią się owego monstrualnego niebezpieczeństwa, przed którym chcą uchronić swój kraj.

Każde mocarstwo uważnie studiuje doktrynę wojenną innych mocarstw. To jasne. Historia wojen udowodniła, że nawet przy niskim stanie techniki odpowiednia doktryna może przynieść rewelacyjne zwycięstwa, zafałszowana doktryna — zupełną klęskę. Cóż dopiero przy technice drugiej połowy XX wieku. Oczywiście jest więc, że obecnie żadne mocarstwo, nawet kierując się najszytniejszymi idealami, nie może zlekceważyć doktryny, jaką narzuca mu ew. potencjalny przeciwnik.

Zorganizowana walka o pokój trwa już dziesięć lat i może się poszczycić nie tyle jakimi sukcesami: pokój w Korei, w Wietnamie; rozładowanie wielu napiętych sytuacji w Afryce, na Bliskim Wschodzie, w Europie. Głos mają nie tylko ludzie nauki, eksperci, ale i społeczeństwo, które coraz głośniej domaga się stworzenia systemu ochronnego, mającego zapobiec wojnie. Nie jest sprawą przypadku, że obóz socjalizmu wysuwa przez usta swych ministrów

zagranicznych niemal identyczne postulaty, co eksperci nauki, wybitni przedstawiciele świata sztuki na wschodzie i zachodzie. Świadczy to o tym, że koła rządzące USA i innych państw zachodnich muszą zdawać sobie sprawę nie tylko z obrzymlą rzyżką, na jakie naraziłaby ich polityka „z pozycji siły”, ale i obawa przed całkowitym bankructwem wobec własnego narodu. A tego lekceważyć nie mogą. Uważamy, że głos rozsądku zwycięży.

EDWARD CASTEL

WOJNA O SUEZ (VII)

Główna szosa Kair—Ismailla—Beersheba—Jeruzolima była umocniona w rejonie Abu-Agella, gdzie krzyżuje się z szosą Eilat—El-Arisz. Przed Abu-Agella wznoszą się wzgórza — widny Umgatef. Tak rejon skrzyżowania dróg jak i zbocza wzgórz usiane były polami minowymi, zasiekami z drutu kolczastego, bunkrami.

30 października, o godzinie czwartej rano, oddział piechoty izraelskiej wspartej czołgami wyruszył z El-Auja, okrążył wzgórze i zaczął podchodzić przez strefę zdemilitaryzowaną. Został zatrzymany huraganowym ogniem artylerii. Czołgi dostały się pod ostrzał dział przeciwpancernych okopanych na grzbiętach wydm.

Z zachodu nadeszły dwie dalsze kolumny izraelskie. Ich dowódcą, generał Simoni, odkrył wśród tych ruchomych piasków, nie do przebycia — zdawałoby się — dla ciężkich pojazdów, szlak nie znany Egipcjanom.

Trzydziestego pierwszego Abu-Ageil i widny Umgatef okrążone były przez cztery kolumny izraelskie. Egipcjanie bronili się jednak zawiście. 20 izraelskich Shermanów — średnich czołgów, weteranów ostatniej wojny — zostało zniszczonych, 13 lekkich czołgów AMX z ostatnich dostaw francuskich utknęło w piaskach — silniki nie wytrzymały kilkudziesięciogodzinnej nieprzerwanej pracy w tej temperaturze — i zatarły się. Ale i Egipcjanie ponieśli ciężkie straty. Po bitwie naliczono 30 zniszczonych egipskich wozów pancernych, głównie czołgów Sherman oraz samobieżnych dział przeciwpancernych Archer.

Przez dwie doby artyleria ostrzeliwała bez przerwy zbocza Umgatef. Bezskutecznie. Dopiero lotnictwo — rakiety i napalm — złamało opór obrońców. I brak wody. Obrońcy byli bez wody przez dwie doby. Abu-Agella padła już po-

przedniego dnia, trzydziestego pierwszego.

Natarciem kierował osobiście generał Dajan. Piechota zaległa, przegwożdżona do ziemi ogniem artylerii.

— Jest teraz pierwsza. O piątą chcę tam być!

O czwartej wrócił. Piechota w dalszym ciągu zalegała pod ogniem. Zmienił dowódcę. — Chcę być w Abu-Agella za godzinę!

Po godzinie był w Abu-Agella...

Inne kolumny obeszły pozycje w rejonie Abu-Agella — Umgatef i ruszyły szosą na Ismailla. Po drodze, pod Bir-Gifgafa, okrążyły silny oddział egipski, wysłany na odsiecz obrońców Abu-Agella.

Wydaje się, że dowództwo egipskie początkowo nie doceniało powagi sytuacji na Półwyspie Synajskim. Pierwszego dnia uderzenie izraelskie uważano za jeszcze jeden wypadek, jeszcze jeden incydent graniczny, tyle że na większą skalę. Następnie zaczęły napływać meldunki od poszczególnych dowódców. Te meldunki wprowadziły sztab egipski w błąd. Wynikało z nich, że wszędzie Żydzi zostali zatrzymani, odparci, zniszczeni.

Niemniej najlepsze oddziały egipskie — zmotoryzowana piechota rozlokowana w rejonie Deltu — otrzymały rozkaz marszu ku granicy. Trzydziestego pierwszego wieczorem, zgodnie z rozkazami, oibryzmia kolumna ruszyła w drogę. Ale tego samego wieczora pierwsze bomby angielskie spadły na lotnisko kairskie. Interwencja anglo-francuska.

Od tej chwili sytuacja na Półwyspie Synajskim zmieniła się zasadniczo. O ile dotychczas lotnictwo francuskie współdziałało z wojskami Izraela, zapewniając im obronę zaplecza, zrzucając zaopatrzenia i rozpoznanie, nie biorąc jednak zasadniczo bezpośredniego udziału w walkach — to teraz wchodzi

bezpośrednio do akcji. Bo teraz z lotnictwem egipskim, przed którym Mysteres IV stacjonowane w Lyddzie i Tairirze miały osłaniać zaplecze, rozprawiła się już ktoś inny — Anglicy i Francuzi z baz na Cyprze, z lotniskowców. Lotnictwo egipskie przestaje być groźne. Nie ma już przed kim osłaniać. 60 Mysteres IV może wziąć bezpośredni udział w walkach.

Z drugiej strony lotnictwo egipskie, które dotychczas zadawało kolumnom izraelskim poważne straty, zostaje z akcji zupełnie wyeliminowane. Tym samym wynik kampanii jest przesądzony. W pustyni o wyniku walki decyduje lotnictwo. Czołg wobec samolotu lecącego z szybkością ponaddźwiękową, wyposażonego w elektronowe przyrządy celownicze i rakiety, jest zupełnie bezbronny. Nie ma gdzie się schować. Nie ma odpowiedniej broni przeciwlotniczej. A teraz w walkach na półwyspie bierze udział nie tylko lotnictwo Izraela, ale i Francji.

31 października, Rafa. Na wybrzeżu, między Gaza i El-Arisz. Baza zaopatrzeniowa armii egipskiej. Czołgi. Lotnisko. Duże ilości środków transportowych. Dwie kompanie strzeżają sprzętu, którym można wyposażać dwie dywizje. Umocnienia solidne, rozbudowane w głąb: bunkry, sieć okopów, kilometry zasieków, pola minowe. W nocy wysunięte pozycje oświetlane są reflektorami.

Poprzedniej nocy oddział saperów próbował otworzyć przejście przez pola minowe i zasieki. Zaskoczyły ich reflektory i silny ogień. Następnej nocy to samo. Dwie kompanie egipskie szczerza zęby. Każdej chwili mogą zostać wzmocnione — sprzęt jest, czeka, wystarczy rzucić spadochroniarzy. Sprzętu jest na dwie dywizje. A co wtedy?

Generał Dajan zwraca się o pomoc do Francuzów. Na Cyprze generał Gilles — spadochroniarz — i generał Brohon — lotnik — przygotowują uderzenie na Kanat. Desant spadochronowy wsparty tylko lotnictwem taktycznym. Zależy im na tym, by Izraelcy jak najszybciej opanowali szosę nadmorską, ruszyli na El-Kantara.

Wtedy gdy generał Dajan prosi o pomoc, admirał Barjot natychmiast kieruje do Rafa krążownik Georges Leygues.

Krążownik zbliża się do wybrzeża egipskiego. Raptem ukazuje się grupa myśliwców odrzutowych, nurkuje na krążownik. Obsługa dział przeciwlotniczych, na okręcie czeka rozkazu otwarcia ognia. Cudem jakimś rozkaz nie zostaje wydany — samoloty należą do amerykańskiej Szóstej Floty, wykonują lot ćwiczebny, obrabiają sobie Georges Leygues za cel pozorowanego nalotu.

Żart? Ostrzeżenie?

Georges Leygues pochodzi do Rafa. O czwartej z rana, 1 listopada, otwiera ogień. Na pozycje dwóch kompanii egipskich pada 400 pocisków z dział okrętowych 152 mm. O szóstej Izraelcy rozpoczynają natarcie. Wspiera ich lotnictwo. O dziesiątej Rafa jest w ich ręku. Zbiegę fortyfikacji stanowi 300... trupów. (d.c.n)



Łódź 2x50 kilowatów SŁOWEM: RADIO



Chcąc zaczynać rzecz od Adama i Ewy początków radia musimy szukać w Raju, kiedy to Przedwieczny karcł naszych praocjów głosem dobiegającym z dalekich niebiosów. Dopiero znacznie później MARCONI i POPOW opatentowali ten boski wynalazek. Jeszcze później wynaleziono lampy elektronowe, co wywołało pierwszy przełom w dziedzinie radia, a potem rozwój radiofonii postępował tak szybko, w tempie tak zawrotnym, że nawet w Łodzi, widać przez nieuwagę, powstała rozgłównia mieszcząca się początkowo przy ul. Wołowej, Później przeniosła się ona na wzgórze pod adres: Narutowicza 130. I stoi tam do dziś, o czym każdy może się przekonać, jeżeli tylko wykaże odrobinę desperacji i nastawi swój odbiornik na falę średnią długości 202 m.

MIESZANKA FIRMOWA

Nie wiem, jak wygląda Muza radia, ale należy przypuszczać, że stanowią ją zlepek wszystkich dziedzin opiekuńczej sztuki uzupełnionych niektórymi częściami świętymi, zajmujących się techniką i elektrycznością. Na Narutowicza bowiem bez przerwy mówi się równocześnie o neorealizmie i lampach z podgrzewaną katodą, o kondensatorach i bel cencie, o moralności i chłodzeniu transformatorów. Mówi się to wszystko zgodnym chórem wesole, pod płonącym napisem: „Ciesz! Studio czynne!”

Na dobrą sprawę reporter powinien opisać teraz studio, ale rzecz jest trudna, bo chyba tajna...

— Nie! — powiadają radiowcy. — Dziś już nietajna. Można pisać, że w stalowej ramce wiszą na gumkach sprężone mikrofony, że z boku jest szpa do studia speakera, że na ścianie wiszą głośniki i szklany aparat do mierzenia wilgotności powietrza. A studio speakera? Podobne do odczytowego, tyle że ma „na stanie” elektryczny gramofon. A studio koncertowe? O! — Jest znacznie większe. Orkiestra przesiaduje na dużych schodach, mikrofonów jest kilka, fortepiany, harfy, klimatyzacja. A studio słuchowiskowe? Nieco mniejsze, zresztą

nagrywa się tu również koncerty kameralne. Studio do studia jest na ogół podobne, ot, takie większe lub mniejsze pokoje z małą ilością mebli. Dla radiowców jednak każde studio to inny świat. Jedne studia kochają — innych nie. Każde ma inną akustykę, swoje zalety i wady. Zupełnie jak kobiety.

A TOM SIĘ DAŁ NAGRAĆ!

Taki okrzyk może wznieść każdy człowiek, który nieopatrznie porozmawiał sobie z radiowym reporterem. Dawniej pracownik radia nagrywający reportaż zdradzał się wielkim mikrofonem trzymany w ręku, wozem transmisyjnym stojącym z tyłu itd.

Dziś zrealizowane zostały marzenia dziennikarzy radia — posiadają oni przenośne magnetofony angielskie typu EMI. Taka skrzyneczka jest aparatem całkowicie niezależnym od sieci elektrycznej, reporter może poruszać się swobodnie w każdych niemal okolicznościach. Cały aparat schowany w dyskretnym pokrowcu zwiża z ramienia, a reporter, z małym mikrofonem ukrytym w dłoni, w kłapie marynarki czy w bukietcie kwiatów, może nagrywać zdarzenia na gorąco. Dzięki tym małym EMI powstało już wiele świetnych reportaży radiowych, których nikt nie nagrałby przy pomocy wielkiego wozu transmisyjnego. W imieniu radiowców prosimy: Dajcie się nagrać...

ALCHEMIA TAŚMY

Magnetofony otworzyły przed radiem zupełnie nowe perspektywy i możliwości. Droga benedyktyńskiego montażu nagranej taśmy z człowieka jakającego się można zrobić wielkiego mówcę wygłaszającego płynnie referaty. I tak robi się często, bo nawet wielcy mówcy, kiedy zobaczą przed sobą mikrofon, nagle zaczynają się jakać... A na przykład uzyskiwanie efektów dźwiękowych, które przysparzają atrakcyjności piosence (np. echo), wprowadzają konieczne nastroje do słuchowisk i innych audycji...

I na tym polu wielką rolę odegrały magnetofony za-



opatrzony w kilka głowic odtwarzających nagranie. Ale dla uzyskiwania efektów dźwiękowych stosuje się też specjalne studia pogłosowe wyłożone twardymi materiałami odbijającymi fale dźwiękowe. Na Zachodzie lansowane są ostatnio wielkie stalowe blachy dające złudzenie głębokiej przestrzeni dźwiękowej. Przy pomocy takich właśnie urządzeń nagrywa się orkiestry Mantovaniego i Melacrine. Orkiestra Rozgłośni Łódzkiej pracująca pod kierownictwem Henryka Debicha nagrywa utwory w pustej sali Filharmonii Łódzkiej zastępującej dość dobrze studio o twardych ścianach.

Ogólnie biorąc w radiofonii tak zachodniej, jak i polskiej już od paru lat notuje się odwrót od studiów o ścianach wytłumianych tkaninami, płytami pilśniowymi, korkiem, na rzecz uzyskiwania efektów przestrzennych. Mówiąc o cudach nagrań dźwiękowych powiedzmy jeszcze dwa słowa o stosowanej coraz częściej metodzie „wgrzywania”. Jeżeli np. Julian Sztatler śpiewa polską piosenkę z orkiestrą Mantovaniego, to mamy właśnie do czynienia z „wgrzywaniem” piosenkarza. Potrzebne są do takiej „hecy” trzy magnetofony. Z pierwszego odtwarza się orkiestrę, z drugiego reżyser wpuszcza w odpowiednim momencie piosenkarza, a wszystko to razem utrwała się na trzecim magnetofonie.



CZEKAJĄC na UKF

Możesz śpiewać z Mantovanim

tekst: W. MACHEJKO
zdjęcia: A. SZOT i autor

nie. Na tej zasadzie w Rozgłośni Łódzkiej realizuje się nagrania orkiestry mandolinistów z gitarą elektryczną.

— Opowiedz — proszą — jak to tam wygląda.
— OPOWIEDZIAŁEM NIECH WIEDZA, GDZIE ŻYJA.

SŁOWO LECI W ETER

„Słowo wyleci wróblem, a wróci wołem”. Ta maksyma obowiązuje w radiu i, niestety, zabrania dokonywania wymiany tak korzystnej w okresie przejściowych trudności z mięsem. Słowo wylatuje z rozgłośni za pomocą nadajnika i anteny. Parę dni temu po raz pierwszy udało mi się przekroczyć zamknięte na zatrzask „Yale” drzwi do pomieszczeń nadajnika Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Nadajnik, jak wiadomo, nie jest własnością PR, a całkiem innego przedsiębiorstwa. Za siatką małych drzwi czekają blyszczące parę pekatych lamp, niewielkich jak dziecięce baloniki. Obejrzałem to i powiadam.

— Możemy iść dalej.

— Gdzie? — pyta zdumiony inżynier.

— No, do właściwej aparatury.

— Stoi pan przed nią.

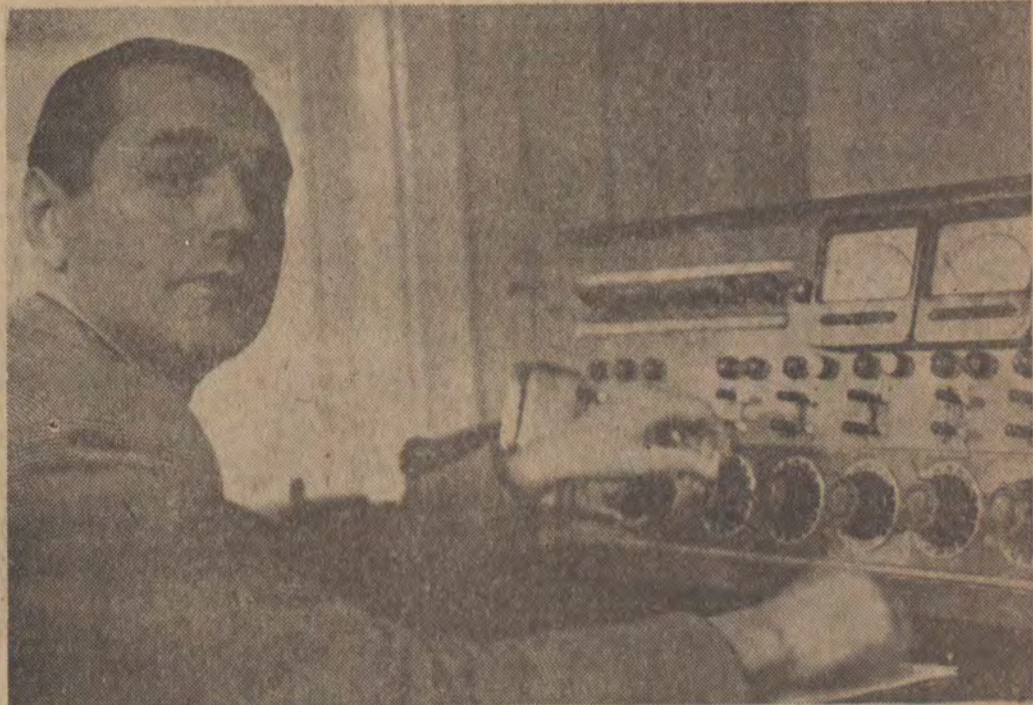
— A więc to wszystko?

Ta szafa, parę innych urządzeń i biurko dyżurnego technika naszpikowane blyszczącymi, wychylającymi się przyrządami pomiarowymi i kontrolnymi? Rozczarowanie. Na korytarzu czeka już na mnie kilku radio-

ZMIENIAMY FALE...

Nie bez powodu poświęciliśmy tyle miejsca sprawie nagrań. Wydaje się, że właśnie w tym dziale pracy radia (nie piszę tu nic o ludziach tworzących przecież cały program i, wymyślających to, co potem notują taśmy) tkwią wielkie możliwości rodzenia się nowych form utworów radiowych. Drugą wielką dziedziną radia jest to wszystko co służy przeniesieniu audycji z budynków rozgłośni do paru milionów odbiorników i głośników radiowych rozrzuconych po całym kraju, nie licząc oczywiście zagranicy, która też nas słucha. Była już mowa o nadajniku. Nie będziemy wdawać się tu w szczegóły techniczne. Obiektywnie wszystkich nas interesuje smutny fakt, że Rozgłośni Łódzka słychać słabo nawet w dzielnicach naszego miasta takich jak Chojny czy Ruda. Zasięg słyszalności stacji w województwie obrazuje nieregularna elipsa rozciągająca się z południa na północ, wykreślona między Sulejowem a Krośniewicami, Sieradzem a Rawą Mazowiecką. Jest to więc zasięg mały, a gdy dodamy tu jeszcze, że Łódź słychać z nieustannym przy-

dźwiękiem, sytuacja staje się fatalna. Lecz oto zbliża się ratunek zaplanowany na dwa etapy. Pierwszy etap to zmiana częstotliwości fali. Dotąd Łódź, pracowała na falach długości 202 metry, już wkrótce, w końcu listopada lub na początku grudnia, przeskoczmy na wspólną z Białymstokiem falę długości 219,45 metra. Odbiór powinien być lepszy niż obecnie. Realizacja etapu drugiego nastąpi gdzieś za dwa lata. Będzie nią wymiana dotychczasowego nadajnika o mocy nominalnej 10 kilowatów, a rzeczywistej około 8, na nadajnik o mocy 2 razy po 50 kilowatów. Łódź będzie więc mogła pracować z mocą 50 kW — wtedy drugi nadajnik będzie zapasowy — albo z mocą 100 kW bez urządzeń awaryjnych. W ostatnich dniach zrezygnowano z planów budowy na Stokach ośrodka telewizyjno-radiowego. Obecnie mówi się o tym, że maszt nowej radiostacji Łódzkiej, znacznie wyższy od obecnego (ten ma ok. 50 m), maszty przekątnikowe łączące telewizyjne i III ultra krótkofalowego programu PR, umieszczone zostaną na południe od Łodzi w pobliżu Tuszyńska. Samą stację ultrakrótkofalową dla radiofonii nasze miasto ma otrzymać dopiero za pięć lat. Warto by doprawdy zainteresować się bliżej tą sprawą. Niemal wszystkie nowoczesne odbiorniki radiowe jakie są do nabycia w naszych sklepach, posiadają już zakres fal UKF, niestety w Łodzi nic na nich „złapać” nie można. Posiadamy w tej chwili w kraju trzy nadajniki UKF: w Warszawie, Katowicach i Opolu. Szybko uruchomiona stacja UKF w Łodzi pozwoliłaby przynajmniej części słuchaczy odbierać program radiowy bez zakłóceń i przydźwięków. UKF-y stały się światową rewelacją radiową ostatnich lat. Dają odbiór czysty, bez zakłóceń, a przy tym posiadając tzw. szerokie pasmo przeniesienia gwarantują jakość dźwięku tak wysoką, że zadowolą nawet najwybredniejszych amatorów muzyki poważnej. Jeszcze raz tedy apelujemy do władz naszego miasta, by zajęły się bliżej sprawą powstania w Łodzi stacji ultrakrótkofalowej, która uczyniłaby słyszalnym w naszym mieście i okolicy istniejący już od dość dawna trzeci program Polskiego Radia.





Rys. Czesław Sadowski

FRASZKI

KRÓTKA PAMIĘĆ

Ma tak krótką pamięć ta oto dziewczyna, że już nie pamięta z kim się zapomnia.

ZWYCZAJ

To zwyczaj żaby, albo raka, patrzeć na wszystko z lotu płaka.

JURYSDYKCJA

I to ustalić muszą ustawy, który but lewy, a który prawy.

NIWIEDZA

Sama nie wie, co posiada, tak niedbale na tym siada.

IO EWY

Kiedy zwiędnie listek figi, zrozumiemy się na migi.

POETESSIE

Wieniec... lecz w tym rzecz cała, na jakiej części ciała.

VENUS I BALWANY

— Venus też powstała z plany... przechwalają się balwany.

PATRIOTA

Zakochał się w ojczyźnie, tu skubnie ją, tam liźnie.

ZDARZENIE

Zbił malarza pewien ob. raz, — Za obraz? — Nie, za obraz...

GOŚCIE

Uporządkujemy nasze szalety, nim zjadą goście z innej planety.



Agrafka jest tylko agrafka, nawet, jeśli podtrzymuje spodnie ministra.

Próżność ludzka i fałszywa ambicja dochodzą do głosu nawet w cmentarnych nagrobkach.

Nie znoszę oklepanych prawd i oklepnych kobiet.

Nie myśl, jeśli nie masz czym.

To podejrzany typ. Wszyscy mówią o nim dobrze.

Gdyby wszystkim głupcom zawiesić dzwonek na szuchach, ludzie mądrzy, musieliby nosić wate w uszach.

Wywyższyła go równość.



TRZEBA...
Trzeba nakleić specjalne znaczki, gdzie są oltarze, a gdzie spłuwaczki.

DRZWI DO RAJU
Niektórzy drzwi do raję wytrychem otwierają.

UCZONY BUREK
Do fajki zajrzał pies:
— Alea iacta est?

NA STAROŚĆ
Na starość wszystko sztuczne: zęby i myśli buńczuczne.

WIWATY
Krzyczą pomyje:
— Ścierka niech żyje!

RZECZNIK
Rzecznik kultury i postępu też czasem chodzi do ustępu.

BITWA
Bez strategii i bez mapy idzie bitwa o ochlapy.

RZĘKA ZAPOMNIENIA
W kraju, w którym nie ma Lety, wodę pije się niestety.

JAN CZARNY

W związku z organizowaną przez „Odgłosy” akcją prezentowania łódzkich satyryków redakcja zwraca się do Pana z prośbą o łaskawe odpowiadanie na następujące pytania:

1. Czy bawi Pana pańska twórczość satyryczna?

Odp. Nie, bo mam poczucie humoru.

2. Czy lubi Pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?

Odp. Tak, kociaki.

3. Czy gra Pan w „Kukułeczkę”? A jeśli nie, to w co?

Odp. Nie, nie gram. A czy to przyzwoliła gra?

4. W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomaga w pracy?

Odp. W pokoju, którego sufit przecieka. To mi przeszkadza w pracy. Pomógłby mi remont dachu, o który bezskutecznie ubiegam się okrągłych lat siedem w Zarządzie Budynków Mieszkalnych Łódź-Polesie.

5. Co sądzi Pan o swoich kolegach-satyrykach?

Odp. Nic, w myśl przysłowia: „Nie sądz, a nie będziesz sądzonym”.

6. Czy „Odgłosy” Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?

Odp. Bawią — zwłaszcza artykuły wstępne; podtrzymują na duchu podejmowane od czasu do czasu w kasie „Odgłosów” honoraria.

HENRYK ANDERS

DOBRE OBRONI SIĘ SAMO

W 37 numerze „Odgłosów” Michał Orlicz wytycza ciężkie działo w obronie teatru przed napastliwością niedobrych, dokuczliwych krytyków. Na ogół ma słuszność istotnie krytyka, choć rzad-

ko bywa rzeczowa, sumienna i konstruktywna — z niektórymi jednak tezami artykułu zgodzić się nie można.

Wyniód Lorentowicza — cytata, którą Orlicz przytacza i oklaskuje, by dobić swoich przeciwników — jest po prostu niewypałem. Do czego bowiem zmierza ów, bardzo przepraszam, żalostnie — patetyczny apel, aby nie stawiać pod pretekst, nie torturować pełnych dobrej woli, a tylko nieudolnych pisarzy, reżyserów czy aktorów, aby nie paraliżować produkcji uczciwej, choć nie zawsze doskonałej artystycznej? Do tolerancji dla miernot, do wprowadzenia ustawowej „taryfy ulgowej”. Jeszcze raz bardzo przepraszam, a z jakiej racji?

Stąpiła to dla mnie pociecha, że szewc był subiektywnie uczciwy, jeżeli spartolił mi buty. Niemal każdy grafoman ma dobrą wolę, ale szanujący się wydawca wypociny jego odrzuci bez najmniejszych skrępowań. Nikt z nas nie kupi bulki nie wy-



pieczonej lub ze stęchłej maki, jakość jej sami umiemy ocenić, wiemy nawet, kto, jak się to mówi „nawalił”. Kiedy jednak kupuję zegarek, nie będąc znawcą, muszę zawierzyć czyjemuś autorytetowi; renomie fabryki czy też dobremu imieniu sprzedawcy. I tak zresztą domagam się gwarancji. Kiedy posługuje się encyklopedią, również ufam autorytetowi i biada mi, jeśli się zawiodę jeżeli potrzebne mi dane okażą się fałszywe.

Udając się do „przybytku sztuki”: do teatru, na koncert, na wystawę — oczekuję produkcji najwyższej jakości. Jest to dla mnie nie tylko źródło wzruszeń, podziwianie, ale przede wszystkim, że znajdę odpowiedź, i to autorytatywną, na dręczące mnie wątpliwości, że poszerzę się moje horyzonty myślowe, że wzbogacę swą psychikę. Ale nie jestem znawcą i jakże często się zdarza, że miedź pozłacaną biorę za dobrą monetę.

W stosunkach handlowych prawo staje w obronie klienta: istnieją przepisy nakazujące specjalne znakowanie towarów wybrakowanych. Istnieje również system inspekcji, który ma ochronić ewentualnych nabywców towaru przed stratami materialnymi. W dziedzinie sztuki chodzi o wartości nieuspółmiernie większe — o szkody moralne, tym bardziej nie wolno tolerować brakoróbstwa. Nie warto okopywać się

na pozycjach z góry straconych. Uczciwością i dobrą wolą możemy rozgrzeszać amatorszczyznę od twórców zawodowych musimy wymagać produkcji pierwszego gatunku! Przedmiotem dyskusji może być temat sztuki, koncepcja reżyserska czy aktorska, ale nigdy jakość wykonania. Nie brońmy patalochów!



Kronika miasta Dublinia

Ukazał się tom opowiadań Jamesa Joyce'a pt. „Dubliniczcy”. Książkę wydał „Czytelnik” w zgrabnym, kieszonkowym formacie, oprawił w płótno, puścił na rynek w interesującej serii sygnowanej rysunkiem Nike z Samotraki, a przełożyła ją Kalina Wołgiewska. Po „Portrecie artysty z czasów młodości”, książki znanej z przedwojennego wydania „Roju”, ostatnio przypomnianej w serii powieści XX wieku, czytelnik dostaje do rąk pierwsze polskie wydanie nowel znanego pisarza bardziej z nazwiska niż z literackich dokonań. Ten Irlandczyk piszący po angielsku — rewelator nowych form powieściowej narracji, twórca świetnych pastiszków poetyckich gorzej literacką opinię zarówno treścią jak i formą swoich utworów, mimo istniejących do dziś dzień kontrowersji w ocenie jego dorobku, poczynna stopniowo w literackich środowiskach Anglii i kontynentu urastać do klasyki nowoczesności. Oczywiście klasyka w znaczeniu trwałości nowatorskich osiągnięć, których nie zdawał sobie tak bardzo nieźwyciwy dla wszelkich awangardyzmów czas. Dziś nieliczenie się z osiągnięciami Joyce'a w zakresie techniki powieściowej narracji świadczyć może tylko o niezrozumieniu zmian, jakim w procesie rewolucji technicznej podlega jednostka i społeczeństwo. Napisaną w 1905 roku nowelę „Dubliniczcy” spotkały się w Anglii z ostrym protestem, który uniemożliwił opublikowanie ich w ciągu dziesięciu lat. Zresztą każdy nowy utwór Joyce'a to nowy skandal w opinii literackiej, nie kończący się ciąg zabiegów i starań o znalezienie wydawcy. Przyczyną zatargów była szokująca krytyka bezceremonialność z jaką Joyce odkrywał tajniki mieszczańskich domów nobliwego miasta Dublinia, zaułków i zakamarków wielkiego miasta, które stacynę obywateli obchodził bocznymi ulicami. W piętnastu opowiadaniach skandował o bieżące życie i ruch stolicy Irlandii, jej tawarny, piłkowskie, rekolekcyjne koncerty, uliczne i alfonsowy, bezczelność i beznamiętnie, plastyczność, okrutnie i bez miłosierdzia wydobytą na światło występek i zbrodnie. „Kronika miejska”, jak nazwał Dubliniczek Stanisław Helczyński jest galeria typów wzniesionych nad „bagniakiem” ulic. Joyce, zjadliwy krytyk nobliwego i patriotycznego irlandzkiego mieszczaństwa pozostał w swej niechęci do Anielików i Anglii tak najbardziej irlandzki pisarzem. Jest mistrzem celnie dobranego tytułu, w którym jak w soczewce kondensuje się subtelna ironia i cierpka dojrzałość satyryka. Opowiadanie o dwu sutenkach, w którym jeden z bohaterów odbiera prostytutki zarobione ciałem pieniądze opatrzy tytułem „Dwa rycerze”. Zaś opowiadanie o nalogowym alkoholiku, którego małżonka postanowiła sprządnąć na drodze cnoty i wstrzeźliwości zatytułuje o zrozo, „Laska Boża”. Jest bezlitosny dla głupstwa i głupców. Wychowawek szkół feudałskich sztydzi z króla angielskiego i dogmatu o nieomylności papieża. Jest sceptyczny i nieufny do wszelkiej pozdy. Zde-

(Dokończenie na str. 7)

str. 6 **odgłosy**



**Korespondencyjny Kurs
Języka Plastycznego
pod redakcją
Henryka Andersa
(lekcja 6)**

XIII OKRĘGOWA WYSTAWA ZPAP W ŁODZI WIELKIM WYDARZENIEM W DZIEJACH SZTUKI NIE JEST.

DALI

Czy można namalować samochód, taki supernowoczesny model, szczyt marzeń, sprzed „Grand-Hotelu”? Czy można namalować obrabiarkę, reaktor atomowy, lodówkę? Można, ale czy warto? To nie jest temat dla malarstwa. Oglądamy z przyjemnością estetycznie wydane prospekty reklamowe, ale na obrazie piękno linii ściśle związane z użytecznością przedmiotu byłoby czymś arcygodnym. Nawet, gdyby to był portret naszego własnego „Mikrusa” przed „Atomium” w Brukseli. Tego rodzaju pragnienia zaspokajają całkowicie aparat fotograficzny.

Czy można namalować „niepokój kosmiczny XX wieku”? Niektórzy przecież go odczuwają. Żyjemy w czasach burzliwych, narzędzia zagłady są coraz doskonalsze, a widoki na ogólnoludzkie porozumienie równie dalekie jak księżycowy krajobraz. Czy w takiej sytuacji współczesny artysta ma prawo malować niezmiennie jabłka i dzbanki, czy nie powinien wyrazić swego stosunku do świata?

Tylko... jak to pokazać na płótnie? Niepokój duchowy, przeżycia psychiczne — to wszystko dzieje się w czasie. Można o nich opowiadać, można je opisać, rozegrać na scenie, malarz bezpośrednio ich nie ujawni, chyba tylko przy pomocy symbolu.

Oczywiście symbol musi być zrozumiały, a równocześnie odpowiadający skomplikowanym stanom psychicznym człowieka naszych czasów. I tu pojawia się trudność dodatkowa.

Jak stwierdza psychoanaliza, wszyscy jesteśmy kłamcami. Mniejsza, że wprowadzamy w błąd bliźnich; okłamujemy nawet siebie. Dzięki wychowaniu i wykształceniu hamujemy wrodzone złe popędy, wstydzimy się naszych wad i ukrywamy je sami przed sobą, udajemy lepszych niż jesteśmy i nieraz bardzo to nas męczy. Niezakłamaną są tylko ludzie psychicznie chorzy. My, niby normalni, szczerzy bywamy w czasie snu, czasami obnażamy swą prawdziwą naturę przy kieliszku. Łatwo zauważyć, iż odruchowo postępujemy inaczej, niż nakazuje nam świadomość.

Wyznawcy podobnych teorii głoszą, że istnieje rozległa sfera podświadomości, w której tłamszą się instynkty, nie zaspokojone i nie wyrażone żądze, namietności, urazy psychiczne. Nie ujawnione, stała się główną przyczyną ludzkiego niepokój, gdyby je wydobyć na światło dzienne, straciłyby swą destrukcyjną siłę.

Jeżeli to wszystko jest prawda, rozszerzają się ogromnie granice rzeczywistości, a z kolei traci sens tradycyjne pojęcie realizmu. Tak właśnie stawiają sprawę nadrealiści. I sądzą, że celem sztuki, jej misją społeczną jest ujarznienie podświadomości, a więc wyzwolenie człowieka z ciemnych mocy instynktu.

Niestety, hasła piękne na papierze w życiu najczęściej zawodzą. Przykładem mogą być obrazy Salvadora Dalí, aktualnego chorążego nadrealizmu. Ów świat ni to bajki, ni to zwidów sennych, czy majaczeń chorobliwej wyobraźni jest po prostu malowaną literaturą. Malowaną raczej źle, bo przecież bardziej tu chodzi o specyficzną filozofię niż o wartości czysto plastyczne. Tak już jest; cenimy zawarty w dziele malarskim ładunek poetycki, ale, jeśli tę odrobinę poezji można lepiej wyrazić innymi środkami — szkoda płótna i farb.



Salvatore Dalí, Plongea żurafa, 1935

muje maski i ukazuje nędzę duchową człowieka. Rozbija tradycyjny schemat nowelliści i powieściowej narracji, wprowadzając jako jedną z form wypowiedzi monolog wewnętrzny. Konstrukcja losu ludzkiego bohaterów utworów Joyce'a robi wrażenie chaosu. Ale to tylko pozory. Jest logiczna i rozumiała, zważywszy na wielostronność i wielowarstwowość człowieka i pokładów jego duszy. Stąd paralelizm w równoległym prowadzeniu wątków. Jednego, który umownie nazwałbym wątkiem behawiorystycznym, i drugiego, który z braku lepszego określenia nazwałbym wątkiem psychicznym. Paralelizm ten służy pisarzowi do jednoczesnego, całościowego ujmowania człowieka, jego najskrytszych tęsknot i marzeń, niedostępnego świata psychiki, skrupulatnie maskowanego zewnętrzną pozą obliczem twarzy, gestem, słowem. Ukazanie nicości skrywanej pod maską wielkości, tchórzostwa i kłamstwa pod pozorami odwagi i nrawdy. Wszędzie trobi pozwy i maski, maski i pozwy. Przy tym jest to pisarz w zasadzie jednego tematu — własnej bio-

grafii. Oczywiście, biografii rozumianej nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Pisarz, obsesjonista jednego tematu, a jednocześnie pozostawiający wrażenie wielostronności i inwencji tematycznej. Wielka indywidualność. Indywidualność nieoparta światnym rzemiosłem literackim. Oto James Joyce, którego dzieło zwycięsko opanowało się próbie czasu i niechętnej niszarzowi krytycy, dziś uznane, nawet modne i co równie istotne — czytane w Anglii i na kontynencie. Dlatego warto trochę czasu poświęcić na nieróżniące próżnowanie i jak reklamuje na obwołanie polski wydawca „Dublińczyków” przeczytać nowele „obecnie uznane za szczytowe osiągnięcie literatury światowej”.

MATEUSZ DZIEWISZ

SZTUCZNE LABIRYNTY

Włodzimierz Odojewski debiutował przed dwoma laty tomem opowiadań pt. „Dobrej drogi, Mario!”, który był bezsprzecznie obiecującą zapo-

wiedzą. Autor bowiem dowiódł w tych opowiadaniach, że jest baczny obserwatorem przemian zachodzących współcześnie na wsi polskiej, że dostrzega ostre konflikty, jakie na ich tle powstają i potrafi pisać o nich interesująco, choć może z przesadną trochę ponurością. Pamiętając tamta książkę, z zainteresowaniem wzięłam do ręki wydaną niedawno powieść Odojewskiego — „Białe lato”. Wzięłam do ręki, zacząłem czytać i bez ogródek powiem, że spotkało mnie rozczarowanie.

Właśnie ze względu na to rozczarowanie zamierzam poświęcić kilka słów „Białemu latu”. Brzmi to nieco paradoksalnie, ale zaraz się wytłumaczę.

Rewizja pojęć i zasad, dokonana po Październiku roku 1956 w wielu dziedzinach naszego życia, nie ominęła, oczywiście, literatury. Rozprawiono się szybko i energicznie ze sztampą i schematami w beletryście współczesnej. Ta rewizja była zdrowa i potrzebna, szkoda tylko, że zbyt daleko idąca i niepożądana konsekwencją stał się generalny odwrót od wszelkiej w ogóle tematyki społeczno-politycznej, od spraw bieżących i aktualnych, od tego wszystkiego, co w naszym

trudnych czasach nurtuje, a nieraz i nęka życie publiczne w Polsce.

Nie ma w tym twierdzeniu dowolności. Za tym, że jest słuszne i uzasadnione przemawia fakt powszechnej niemal zmiany zainteresowań pisarskich. Wyraźny nawrót do tematyki wojenno-okupacyjnej, ogromny wzrost literatury pamiętnikarskiej i wspomnieniowej oraz psychologizmy — nie ciagoty — to wszystko świadczy, że bardzo wielu twórców, jeśli nie ucieka od rzeczywistości, to unika jednak spotkania się z nią oko w oko, a tym bardziej brania się z jej problemami za bary. Są zresztą i tacy, którzy po prostu... milczą, co, oczywiście, również nie oznacza bliskości i żywego, pisarskiego kontaktu z rzeczywistością.

„Białe lato” — to casus dość typowy dla tych zjawisk, o których piszę. Odojewski należy do tych, którzy dali się uwieść złudnym pokusom psychologizmu i ugrzeźbił w nim, jak mucha w lepku. Powieść Odojewskiego, to „dobry” przykład utworu, gdzie nic się prawie nie dzieje, za to mówi się, mówi się bez końca. A wszystko stać, że pewien Karol odebrał żonę swemu przyjacielowi, po czym nowi kochankowie zaczęli się

dręczyć i męczyć nawzajem. Karol nie zarabia dość dużo, by dać piękności Julii należyta „oprawę” — to pierwszy powód do nieporozumień i rozterek w ich współżyciu. A że Julia, znużona neurastenicznym usposobieniem Karola, urozmaica sobie życie „na boku” — to powód drugi. W okresie „błędów i wypaczeń” Karol był dyskryminowany i odsuwany od pracy naukowej, co zrodziło w nim gorycz i żal do całego świata. Ale i później, gdy sprawiedliwość stała się zadość, nie widać w Karolu satysfakcji ani radości, przeciwnie — wciąż dąsa się, chmurzy i wypomina nie-dobre czasy, co stanowi trzeci z kolei powód do zatruwania życia sobie i Julii. Tych powodów znalazłoby się w powieści i więcej.

Wszystkie te papierowe perypetie beznadziejnego współżycia odbywają się w atmosferze sztucznych głębi, wymyślnych labiryntów duchowych, przy akompaniamencie dialogów bez początku i końca, których treść (jeśli ją można uchwycić) dowodzi najwyraźniej, że rzetelnej podbudowy psychologicznej żadną miarą nie można zastąpić psychologizmem „bebechawata” gadanina. Czytając „Białe lato” często wzdycha-

my, by Karol i Julia przestali wreszcie gadać i dali święty spokój i sobie, i nam. Tak wygląda sprawa, gdy autor nieopatrznie zabrze na manowce.

Powieść Odojewskiego jest — jak powiedziałem — charakterystycznym dla naszej aktualności literackiej zjawiskiem i właśnie dlatego omówiłem tutaj tę słabą i w istocie rzeczy blądną książkę. Wydaje mi się, że autor pisząc ją był niezupełnie we własnej skórze i ulegał raczej modzie, niż wołaniu swych prawdziwych dyspozycji wewnętrznych. Toteż wolno mi wyrazić nadzieję, że Odojewski otrząśnie się rychło z niewdzięcznych prób dzielenia włosów (może nawet nieistniejącego) na czworo, porzuci dziedzinę urojonych konfliktów i dramatów — i dotknąwszy znowu stopą ziemi, naszej ziemi, zajmie się twórczo jej realnymi sprawami i zagadnieniami.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

BRONISŁAW KAMIŃSKI-DUROCHE

Teraz wiem dlaczego żyję
dlaczego żyjemy wszyscy otoczeni przestrzenią i czasem
nasz przodek pierwszy potwór który wyrósł na glinie
ziemi

miał lapy szczęki i oczy
urodzony z potu pożądań niedopelnionych
upadek pierwotny
pożarł ziemię i pożarł swe własne ciało
potem pokolenia położyły się na łożu naszej matki
million razy słońce przeszło swoją drogę
człowiek ucesany przez księżyc
znajduje się w moim ciele
mieszkam z nim razem w moim pokoju
jego głos odpowiada mi z czterech ścian
pożarłem jagnię białe i niewinne
wypiłem krew mojego brata
bowiem jestem tutaj aby być wiecznym zbrodniarzem
aby czynić zło
bowiem żyję, aby nie wiedzieć po co żyję
ażeby oczekiwać rzeczy które nie przyjdą nigdy
nawet moja miłość czyni zło
zbrodniarzu zbrodniarzu
bądź szczerym panie sędzio
panie biskupie panie prezydencie republiki królu
mała dziewczynko o włosach anioła
przyjdźcie wszyscy i patrzcie na mnie
wy wszyscy mieszkacie w mojej piersi
a ja jestem pierwszym potworem który wyszedł z gliny
ziemi
jem zabijam i żyję

JAN BOLESŁAW OŻÓG

KALEKA

Czarna malwa dach podcina
i świergota ptak w okapie.
Drze pysk, piosnką drab bez nogi
i o kuli przez wieś człapie.

„To nie sztuka moja mla,
ulegalkę unieść z sita.
Zeby mi cię obiecali,
przeskoczyłbym kopę żyta...”

Wieczór. Droga w bluszczach pluska,
tylko mgła jak panna biała.
Staje panna za firanką,
i za jej z rzes po szybie spada.

Za ogrodem kula stuka,
za ogrodem chłopak śpiewa,
„Zeby mi cię tylko dali,
przeskoczyłbym szpaka z drzewa...”

Kuśtyk, kuśtyk — w noc z wesela —
w pościel z szłochu, w śnieg welonu.
Drzy liść morwy z łąz jagody
długą i jak krew czerwona.



odgłosy 7 str.

ZBIGNIEW NIENACKI

NA TROPIE Tajemniczego ALBAZINA

Dokończenie ze str. 1

wnie tak silna tęsknota za oczekującą mnie dalszą podróżą, że potykając się na śliskich schodkach na oślep zbiegłem w dół na most przy przystani. W tym świecie prawie doskonałych maszyn, cichobieżnych pociągów, szybkich jak myśl pociągów, gdzie każde kółko, każdy trzpiek służyć ma komuś i czemuś, może i warto pokochać czasem coś pozornie bezużytecznego, jakąś własną ideę - fixe?

Przeprowadzano gruntowny remont w moim mieszkaniu. Pachniało wapnem, na wycyklinowanej podłodze rozłożono stare papiery. Między dużymi proszokami placht gazetowych spostrzegłem małą skrawek kartki wyrwanej z jakiejś książki. Zmierając do stołu machinalnie pochyliłem się, próbując przeczytać choć kilka zdań.

Stroniczka pochodziła z jakiejś starej rosyjskiej książki. Do dziś nie znam jej tytułu, roku wydania i nazwiska autora. Ale jedno jej zdanie na zawsze utkwiliło mi w pamięci.

„24 marca 1684 roku Albazina otrzymał list od Chińczyków, napisany w języku mandżurskim, mongolskim i polskim”

Kim byli tajemniczy albazińczycy? Dlaczego Chińczycy pisali do nich w języku polskim? Druga połowa XVII wieku. Albazina? Dziwaczna to nazwa...

Urwałem w połowie rozpoczętą pracę nad zamówioną książką. Zawartem nowy kontrakt z Wydawnictwem. I kiedy z lotniska na Okęciu radziecki samolot „IL” ponosił mnie w stronę Moskwy i upragnionych książek w bibliotekach — wówczas już na pewno nie było lekarstwa zdolnego uleczyć mnie z owej „albazińskiej choroby”.

Archeologia i historia — te dwie gałęzie nauki na zawsze chyba będą dla mnie miały nieprzerpany urok. Praca archeologa lub historyka przypomina mi działalność detektywa, tropienie śladów. Ilość w niej niekłamanej romantyzmu, ileż przygód, zachwycających choć niekiedy przeżywa się je w ścianach jednego pokoju, wśród pótek z książkami!

Dotąd wypadło mi tylko pisać o tych „tropicielach śladów”. Teraz i ja znalazłem swój trop — jedno niewielkie zdanie z książki. Z treści odnalezionej kartki można było wywnioskować, że list pisany po polsku był dla owych albazińczyków czymś w rodzaju wojennego ultimatum. Otrzymałszy go zaczęli się gotować do obrony, gromadzili proch i kule, naprawiali umocnienia. Lecz jaki był wynik boju? I gdzie się odbywał?

Po czterech tygodniach żmudnych poszukiwań, pewnego wieczoru wybrałem w katalogu numer książki, która — jak wydawało mi się — nie będzie miała nic wspólnego z albazińską

sprawa. Otrzymałem książkę obojętnie rozłożyłem na pulpicie stołu, zapaliłem zieloną lampę. Przerzuciłem kilkanaście kartek i nagle... Nagle zobaczyłem odbitkę pieczęci, pod którą widniał napis:

„PIECZĘĆ GRÓDKA ALBAZINA”

Malutka, okrągła pieczęć z drobnymi uszkiem, przez które prawdopodobnie przeciągano sznurek, aby można ją było nosić na piersi. Podpis pod odbitką brzmiał: „Pieczęć grodu Albazina, interesująca heraldyczna pamiątka z Syberii z XVII wieku. Muzeum Ermitaż w Leningradzie”.

Syberia... Tak, to był już nowy trop.

Tylko że Syberia posiada obszary, na których zmieścić się może cała Europa.

I niestety, odbitka starej pieczęci nie potrafiła mi również powiedzieć dlaczego do albazińców Chińczycy pisali po polsku.

Z Warszawy wylecieliśmy w południe. A po dwóch godzinach lotu spostrzegłem na skrzydłach samolotu czerwony blask zachodzącego słońca. Tak w powietrznej podróży gubi się czas, godziny. Samolot leciał nad chmurami, przypominał się widziany na zdjęciu surowy biały pejzaż z Arktyki.

Leciałem na spotkanie przygody. Samolot wolno opadał na nierówną poszarpaną płaszczyznę chmur. Wydawało mi się, że po tej białej puszystej potoczce się lekko jak po śnieżnej pościeli. A on zapadł w nią, krajał ją skrzydłami i kadłubem. I było to pierwsze moje rozczarowanie.

Trzydziestopiętrowy wieżowiec hotelu „Ukraina” jest sam w sobie jakby jednym dużym miastem. Wielkie jak kościoły westibule, halle, restauracje, szybko-bieżne windy, labirynty korytarze i 1026 jednoosobowych pokoi z łazienkami, z telefonem, wyposażonych luksusowo, wygodnie. Hotel zbudowano na brzegu rzeki Moskwy, na ulicy, która zwie się Dorożnikowskaja Nabieżnaja.

Hotel „Ukraina” jest jak miasto może niezbyt wielkie, ale jakże egzotyczne! W westibulu widzę kobiety w strojach Afganistanu,

Indii, Sudanu, Egiptu, o twarzach czarnych, żółtych, czerwonych, czasem jakby sinych. Niektóre są tak piękne, że już sam ich widok sprawia ogromną radość; ich powolny, łagodny, kołyszący się chód — zachwyca, a spojrzenie podługnych wielkich oczu wywołuje się przenikliwe choć nieme, jak spojrzenie oczu egzotycznych ryb w oświetlonym akwarium. Idą mężczyźni — Hindusi w białych spodniach, w białych zawojach na głowie. Mieszają się z sobą zapach egzotycznych perfum i zapach papierosów z najróżniejszych stron świata. To skrzyżowanie przedziwnych zapachów, strojów — czyni widok westibulu czymś zadziwiającym i niepowtarzalnym. Jak urzeczony obserwuję dwóch eleganckich Chińczyków wymieniających między sobą bilety wizytowe i składających sobie niskie aż do ziemi ukłony; pośpieszonym i nieco nonszalanckim krokiem idą do windy dwaj młodzi Anglicy; rude Szwedki szczerzą swe wielkie końskie zęby; w głębokim fotelu wypoczywa małutki, drobny Japończyk; rozrzuciła widok dwóch czarnoliczych mieszkańców Kambodży, drzących z chłodu, z głowami śmiesznie owiniętymi szalikiem, który od zimna ma uchronić ich przyzwyczajone do ciepła uszy.

Ktoś dotknął mego ramienia. Znajomy. Młody rosyjski krytyk literacki, którego przed dwoma laty przypadkiem poznałem w Polsce.

Uśmiecham się. Opowiadam zawiłe i zapewne niezrozumiałe o celu swej podróży.

— Albazina? Albazina? — pyta dwukrotnie, ze zdziwieniem trzęsąc głową.

Potem prosi mnie, obcuje złożyć wizytę i biętnie dokądś, załatwiać jakieś formalności — umieszcza w hotelu gości, pisarzy zagranicznych przybyłych na konferencję w Taszkencie.

W hotelowych kioskach sprzedają książki, albumy artystyczne, przewodniki po Moskwie w języku angielskim, zegarki, kryształ, kawior, półczochy, pocztówki, ananasy, banany i winogrona.

Mój rosyjski przyjaciel jeszcze tego samego dnia zapukał do mego hotelowego pokoju. Zjawił się u mnie

o 11 — w nocy, dźwigając pierwszy tom „Sibirekiej Sowieckiej Encyklopedii”.

— Czy zdajesz sobie sprawę dokąd chcesz pojechać? Twój Albazina jest gdzieś na Dalekim Wschodzie, nad Amurem, Masz, czytaj...

„Albazine — rosyjski gródek XVII wieku, zbudowany na lewym brzegu rzeki Amur, na miejscu gródka daurskiego księcia Albazy, zniszczonego w 1650 roku, w czasie pierwszej ekspedycji Jerofieja Chabarowa. W 1665 r. na gruzach albazińskiego gródka zbudowano nowe umocnienia. Okolice nowopowstałego grodu posiadające doskonałe warunki dla dalszego rozwoju rolnictwa zostały w szybkim tempie osiedlone przez rolników. Zbójce najściu Kozaków z Albazina na tubylców zamieszkujących brzegi Amuru i będących wasalami Chin, spowodowały ze strony Chin wojenne ekspedycje na Albazina. W czerwcu 1685 r. po wytrwałym i długotrwałym oblężeniu przez 10-tysięczną armię chińską, garnizon broniący grodu zmuszony był poddać swą twierdzę...”

Notatka przywieziona przeze mnie z Polski mówiła: 24 marca 1684 roku Chińczycy pisali po polsku do mieszkańców Albazina.

Był to zapewne list z ostrzeżeniem, które nie poskutkowało. W rok później, w czerwcu Albazina obleżony został przez 10-tysięczną armię i poddał się Chińczykom.

Amur — pogranicze Rosji i Chin. Nie było chyba nie nadzwyczajnego w tym raczej drobnym epizodzie z dziejów Dalekiego Wschodu. Diwne było tylko jedno: dlaczego Chińczycy pisali po polsku?

Mój przyjaciel rosyjski podsunął mi niewielką książeczkę.

— Przyniosłem ci poezję Piotra Komarowa, niedawno zmarłego najzdolniejszego poety Dalekiego Wschodu. Jest tu poemat pt. „Albazińska legenda”.



Hotel „Ukraina” w Moskwie

Łapczywie rzuciłem się na dźwięczne, soczyste strofy poematu. Może tu, u poety, znajdę rozwiązanie trapiącej mnie zagadki?

„Poemat opowiadał o historii srebrnego kubka, którym Kozak Pojarkow, pierwszy przybysz nad amurskie brzegi, pił wodę z Amuru. I kubek ten przez długie pokolenia przechodził z rąk do rąk, z ojca na syna, jak symbol władania Rosji nad Amurem. Było w tym poemacie coś dla mnie bardzo bliskiego. Opowiadał poeta jak huczy i jęczy Amur ściśnięty w wąwozie gór

Chinganu, opiewał brzegi rzeki usiane pagórkami zapomnianych mogił.

Czy wśród tych zapomnianych grobów nadamurskich nie ma i mogił moich przodków? Tych, do których Chińczycy pisali po polsku? „Grochoczet i stonet, w tiesninach załat, Amur między białej Chingana Dawno nasi przedki w mogiłach leżat. Ich sława ustaje i tumań...”

(d. c. n.)

ZBIGNIEW NIENACKI

NAJWIĘKSZY KONKURS SEZONU

Główna nagroda: MIESZKANIE

Jeśli chcesz wiedzieć wszystko o sprawach mieszkaniowych Łodzi

- KOMU PRZYSŁUGUJE NOWE MIESZKANIE
- CZY WARTO OSZCZĘDZĄC NA MIESZKANIE
- JAK WSTĄPIĆ DO SPÓŁDZIELNI KTÓRA ZAPEWNI CI —

— CZYTAJ NASTĘPNE NUMERY

„ODGŁOSÓW”

NASZĄ AKCJĘ INFORMACYJNĄ UZUPEŁNI

WIELKI KONKURS

Główna nagroda:

MIESZKANIE!



Pokój w hotelu

str. 8 **odgłosy**

PRAWDZIWA WIOSNA czy „pal ich licho?”

DZIECI.

Jolanta Nowicka
Dewsbury, kl. III.

„Przeczytałam w „Dziatwie” o dwóch chłopcach: Jasiu i Władku, którzy widzieli, jak prawdziwa wiosna przyleciała na bocianie.

Pani Wiosna rozsypywała kwiatki po łąkach.

Ja nie wiem, czy to jest prawda. Ja myślę, że to bajka. Gdy ktoś z Was zobaczy gdzieś Panią Wiosnę, niech napisze do mnie.

A może tylko dzieci w Polsce mogą prawdziwą wiosnę zobaczyć?

Ja wiem, że w Polsce są bociany. W Anglii ja jeszcze nigdy bociana nie widziałam”.

* * *

Jola jest jednym z 6 i pół tysiąca polskich dzieci, które się uczą w Wielkiej Brytanii w polskich szkołach. Dzieci te znają dwa pojęcia ojczyzny: tej okalającej Londyn, Leeds czy Birmingham i tej dalekiej, nierzeczywistej, pięknej zwiędniętą rzeczną nie widzialnych, łąką lśniąca w oku matki przy jej imieniu. Bo słowo o Polsce, choć pada w polskiej mowie, to przecież często znajduje swe miejsce w sercu dziecka wśród pojęć obcych lub przetłumaczonych z codziennego, a więc bliższego — angielskiego języka.

OKRUCHY PRAWDY

Zamieszczony na początku list Jolanty Nowickiej znalazłem w „Gazecie szkolnej” wydawanej w Leeds (Anglia). To taka biedna gazetka z powielacza. I w takich właśnie gazetkach znaleźć można okruchy prawdy o dziecku polskim na obczyźnie.

Oto jednodniówka, wydana w Edynburgu z okazji dziesięciolecia polskiej szkoły. Cel jednodniówki — pomóc nauczycielstwu „w prowadzeniu młodego pokolenia tak, aby chcieli i umieli utrzymać świadomość narodową na emigracji, — aby chcieli korzystać z dotychczasowego dorobku kultury polskiej, — aby umieli brać udział w tworzeniu nowych jej dóbr”.

Niech te okruchy scharakteryzują sytuację wstępnie, zanim przedstawię czytelnikowi los polskich dzieci za granicą.

„Z wiosną 1954 roku, na skutek wzrostu liczby dzieci oraz w poszukiwaniu pomieszczenia dla nauczania najbardziej zbliżonego do warunków normalnej szkoły (podkreślenie moje — J. U.) Zrzeszenie Nauczycielstwa uzyskało zgodę od miejscowych szkolnych władz szkockich na używanie kilku klas w St. Marys R. C. School, Albany street, w Edynburgu”.

A oto inna notatka: „Doceniając znaczenie godziwej rozrywki i mając w gronie uczniów młodzież dorastającą — nauczycielstwo wspólnie z harcerstwem założyło... Klub Towarzystwa dla Młodzieży...”

Do Klubu należała młodzież w wieku od lat 14 do 18. Warunkiem należenia było uczęszczanie na kursy dokształcające w przedmiotach ojczyźstych (podkr. moje — J. U.). Klub liczył ponad 30 członków.

Na skutek sprzedaży Domu Harcerza i utraty w ten sposób lokalu — Klub rozwiązał się”.

Nie wiem, co było przyczyną sprzedaży domu. Ale sprawom polskim (nie tylko

dziś) różne przeszkadzają zdarzenia. Co się zdarzyło na emigracji, o tym mówi opublikowany przez nauczycieli w Edynburgu wykres, przedstawiający wzrost szkolny. A więc widać równomierny wzrost ilości uczniów i tylko w dwóch momentach widoczny tego wzrostu spadek: 1950 — „zartę komitetu opieki ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego za Granicą”, 1954 — „Nieporozumienia wewnętrzno-polityczne”.

Szperajmy dalej. „Wychowanie Ojczyźstie” — periodyk wydawany przez Polską Macierz Szkolną za Granicą. Na okładce uwaga: „Dla nauczycielstwa i rodziców — For private circulation only”. Za zdjęciem ze szkółki polskiej w Ebensee (Austria), notatka ze Stanów Zjednoczonych: „Chicago — Największa spośród polskich szkół w Stanach Zjednoczonych jest szkoła w Chicago. Do szkoły uczęszcza 281 dzieci”. Z Kanady donoszą, że Rada Oświatowa rozprawiła 200 egzemplarzy pisma dla dzieci pn. „Dziatwa”. „Szkoła polska w Ottawie w czwartym roku istnienia ma 41 uczniów w przedszkolu i w 3 klasach. Lekcje odbywają się w piątki wieczorem, w przedszkolu i klasie wstępnej w soboty Dom Stowarzyszenia Polskich Kombatantów udzielił bezpłatnego lokalu i ofiarowuje dzieciom w soboty kafełki”.

Tymczasowa Rada Związku Polaków Katolików w Izraelu zorganizowała naukę ojczyźstą dla dzieci polskich, uczęszczających do katolickich szkół francuskich w Izraelu”.

I gdyby tak szukać dalej, doliczylibyśmy się 31 ośrodków szkolnych kontrolowanych przez Polską Macierz Szkolną i ponad 100 pozostałych pod opieką innych organizacji.



„Trudny ten język, którym tatuś mówi. Jak tu się tego nauczyć. I po co? Przecież to wszystko jedno. Gdy się będę bawił z Johnem i Mary, to będziemy mówili tak jak mama, po angielsku”.

ka polskiego przez omawianą kategorię dzieci.

Powiem więcej. Dzieci z małżeństw nie tylko mieszanych, ale nawet polskich mówią po polsku z błędami, zawsze z silnym akcentem obcym i zawsze... niechętnie.

JAK LATWIEJ?

Do 6 lat życia decyduje dom. Rodzice mówią po polsku, pierwsze poznane słowa, pierwsze dziecięce zabawy, pierwsze samodzielne myśli wyrażają się polskimi słowami. Ale każdy kontakt z dziećmi angielskimi prowadzi do poznania tej prawdy, że w języku ojca i mamy „chrząszcz brzmi w trzcinie”, a angielskie słowa są bardziej płynne, wymawiane przy łatwym układzie warg i języka. Ojciec i matka czeplają się końcówek, znają dziesiątki form, a po angielsku jednym imiesłowem z końcówką -ing można od biedy zastąpić wszystkie formy czasowników. Po polsku inaczej trzeba się zwracać do mamy z ojcem, inaczej do rówieśnika, inaczej do wasatego pana, który odwiedza rodziców — a po angielsku wszechobejmujące you upraszcza sytuację.

DROGA DO WYNARODOWIENIA

Jeżeli tych, którzy wyszli z polskich formacji wojskowych na Zachodzie i byłych jeńców w Niemczech i innych, którzy różnymi drogami trafili do Anglii — obejmujemy wspólną nazwą emigrantów, to lata 1946—7—8 były dla nich okresem przejściowym od wojny ku pokojowi, okresem decyzji, które wróciły ich krajowi lub zastawiły — chyba na zawsze — na Zachodzie. Znaczenie tych lat i tych faktów leży w tym, że w r. 1954—55 zaczęły dorastać ich dzieci i konieczność istnienia i konieczność istnienia polskiej szkoły stała się odtąd

problemem, którego ważność rośnie nieustannie, gdyż rośnie ilość dzieci.

Jeśli oboje rodzice są Polakami, sprawa wydaje się dość prostą. Dziecko zaczyna mówić od razu po polsku i wynarodowić go nie jest łatwo — prawda? — Niestety, życie gotuje tu niemile niespodzianki. A cóż dopiero w małżeństwach mieszanych, zwłaszcza tych, w których matka nie jest Polką, zwłaszcza tych, w których charakter rodziców są tak dobrane, że o narodowym obliczu rodziny decyduje strona niepoliska. Wydaje się, że tu sprawa jest zupełnie przegrana. Dzieci lgną do wszystkiego co angielskie z przyczyn, o których mowa niżej i nawet późniejsza nauka języka polskiego może tylko w pewnej mierze uspokoić sumienie rodzica — Polaka, że przecież uczynił wysiłek, by dzieciątko zapoznać z tzw. „mową ojców”. Byłem w szkółce polskiej, w klasie dla dzieci rodziców mieszanych. Jeśli czytelnik ma własne dziecko, uczące się języka obcego, lub jeśli może przypomnieć sobie, jak sam opanowywał język niemiecki czy francuski w dzieciństwie — to będzie to w przybliżeniu miara opanowania języ-

angielskiego. Pełnych szkół z polskim językiem wykładowym nie ma. A świadectwa istniejących szkół polskich uznawane są tylko w Irlandii — na przekór Anglikom. Panującą religią — angielską, panującym językiem angielski. Możecie się modlić do wszystkich bogów i mówić, jak wam się podoba, ale na własny koszt.

Wiek szkolny zaczyna się w Anglii od piątego roku życia. Początkowo wpływ polskiego domu przeważa w przeżyciach dziecka. Rok siódmy jest krytyczny. Jeśli rodzice czują, sprawa nie jest przegrana. W przeciwnym wypadku dziecko zapomina języka polskiego przynajmniej o tyle, że robi w nim coraz więcej błędów, mówi nim coraz mniej chętnie. Jedną z matek, która z racji pracy zawodowej styka się głównie z Anglikami, przyznała mi się, że język angielski zajął w jej podświadomości takie miejsce, że często nie jest w stanie zdać sobie sprawy z faktu, jakiego języka w danej chwili używa. Skutek? — A taki, że rozmowa z córką mieła charakter dwujęzyczny. Matka mówi po polsku, córka jej odpowiada po angielsku.



Grażyna S. przyszła na świat w Egipcie, w rozpiętym na pustyni namiocie. Dziś chodzi do szkoły angielskiej, nosi taki oto barwny mundur i znaczek szkolny na kieszonek. Mówi po polsku, ale woli język angielski.

ORGANIZACJA NAUKI

A więc troskę o szkolnictwo wzięła na siebie Polska Macierz Szkolna, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, PCK, a są też szkółki parafialne i inne. Uczą przede wszystkim nauczyciele zawodowi, w rzadkich wypadkach przygotowuje się kogoś przy pomocy krótkiego kursu. Oprócz tego — jeśli już mowa o stronie organizacyjnej — terytorium W. Brytanii dzieli się na inspektoraty, których personel nadzoruje szkoły sobotnie. Program jest bowiem jednolity i z faktu, że różne organizacje sprawą tą się zajmują, nie należy wyciągać niekorzystnych wniosków.

„Różnorodność poziomu umysłowego i wiek dzieci, uczęszczających na kursy spowodowały konieczność tworzenia zespołów o najbardziej wyrównanym poziomie”.

Doświadczenie wykazało, że te różnice oraz warunki lokalne nie pozwalają na zastosowanie podziału na klasy przedwojennej szkoły powszechnej.

Na podstawie dotychczasowej praktyki i wnikliwej obserwacji kursów, zupełnie wyraźnie narzuca się klasyfikacja zespołów na poziomy” (— z Programu Nauki w Szkołach Przedmiotów Ojczyźstych).

Dzieli się więc dzieci na 5 poziomów. Najniższy — to poziom elementarny młodszy, wiek 5—6 lat. „Jest to zespół dzieci, rozpoczynających naukę w szkołach angielskich, gdzie uczą się wierszyków, piosenek, gier i zabaw, rozszerzają zasób pojęć wyłącznie w duchu i języku obcym”.

Dla przeciwwagi trzeba z tym zespołem śpiewać, bawić się, uczyć wierszyków i mówić po polsku. „Basia S. zaczęła już chodzić do sobotniej szkółki. Tym nie mniej, kiedy rzucaliśmy do siebie gumowym kółkiem, zapropnowała zabawę „na donkey”. Kto upuści kółko po raz pierwszy, ten będzie „d”, za następnym razem będzie „do” itd. Toteż w domach polskich widać różne zbiórki piosenek i zabaw, inscenizacji, a nawet płyty z piosenkami i zabawami”.

Poziom drugi określa się mianem „elementarny starszy” — wiek 6—7 lat. Tu kładzie się główny nacisk na umiejętność pisania i czytania po polsku. Dla

wiek 7—9 lat przewidziano poziom III „początkowy”. „Aby Polskę przybliżyć dziecku, wytworzyć atmosferę polskości, podbudować tło dla nauki języka, trzeba wprowadzić na tym poziomie legendy, opowiadania historyczne i geograficzne o miastach, rzekach, morzu, górach, ludziach i zwyczajach”.

Poziom IV „średni” (9—11 lat) — to geografia i historia Polski. Te same przedmioty rozszerzone i pogłębione przewiduje poziom V „wyższy” dla dzieci od 11 do 13 lat.

Ze względu, o których mowa wyżej, w tej chwili aktualna jest tylko szkoła powszechna. Pierwsze roczniki dzieci polskich zaczynają dopiero wkraczać w lata gimnazjalne. Toteż opisany tu program nauki dla dzieci młodszych oparty jest na doświadczeniach, program zaś gimnazjów dopiero się projektuje i chyba znów upłyną lata, zanim ujawnią się trudności i potrzeby związane z nauką i polskim wychowaniem dzieci starszych.

A CO DALEJ?

W Wielkiej Brytanii jest około 140 tys. Polaków.

Ilość dzieci polskich na terenie jednej tylko W. Brytanii oblicza się na 15 tysięcy. Szkolnictwo polskie prowadzone przez wymienione wyżej organizacje obejmuje 6—7 tysięcy.

Średnie pokolenie emigracji odczuwa brak wiedzy z krajem, szuka jej, ocenia pozytywnie rozwój Polski.

Miesięcznik „Dziatwa” jest tylko dwubarwny i wychodzi nieregularnie.

Podreczniki są biedne i przestarzałe.

15 tysięcy dzieci polskich kalectwo język polski.

Gdzieś w świecie idzie walka o ich polskość.

Jolanta Nowicka wierzy, że tylko w Polsce dzieci mogą zobaczyć prawdziwą wiosnę.



* Jeden z historyków francuskich wywodził niedawno, że lud zburzył Bastylie z polecenia pewnego przedsiębiorcy budowlanego, który pilnie potrzebował kamienia. Znałszy przedmiotu twierdzą zresztą, że podobne poglądy wysuwano już niegdyś, jako że zawsze znajdowali się „odbrązowiacze” historii, szczególnie w sceptycznej Francji. Ciekawy jest więc raczej fakt, że właśnie obecnie teza czcigodnego profesora uzyskała szerszy rozgłos, stała się modną. Zdaje się, że odzwierciedla ona w jakimś stopniu mentalność współczesnego pokolenia, że jest charakterystyczna dla obecnego stanu umysłów i ducha poważnej części społeczeństwa zachodnich. Kult praktycyzmu, doraznych korzyści, osiągnięć rzadko spotykane rozmiary. Z tego punktu widzenia trudno jest pewnie poniektórym zrozumieć, po co ludzie burzyli Bastylie, skoro nikt im za to nie płacił. Inni odczuwają być może pewnego katka na wspomnienie, że gdzieś tam walczyli o jakieś ideały: przyjemnie więc obudzić tę walkę z romantycznej aureoli i po myśleć sobie, że i tam chędzilo o pieniądze...
Ow kult praktycyzmu żyłowego również i w Polsce znajduje szerokie

Bazar

ARCYCIEKAWĄ HISTORIĘ TELEFONÓW
czytaj w następnym numerze **BAZARU**

rzese gorliwych wyznawców, którzy go w praktyce urzeczywistniają. Znajduje także i swoich teoretyków. Rzecz jasna, sporo w tym uzasadnionej reakcji na naszą zbyt romantyczną historię. Łatwo jednak przy obec-

GO

nych nastrojach wpaść w przesadę. Prawda ży ciowa jest nieco bardziej skomplikowana i nie wszystkie „romantyczne” (czytaj: nieopłacone) odruchy ludzkie są bezpłodną bohater-szczyzną. Inaczej dojdziemy i my do nowych odkryć historycznych, że tacy powiedzmy podchorążowie weszli w noc listopadową na ulice Warszawy, ponieważ zabrakło wódki...

Obsesjonista

waniem Matki Boskiej Opiekunki Dróg.

Nowy sposób uczenia czeladników wprowadzili ostatnio fryzjerzy z Mediolanu. Adepci sztuki fryzjerskiej rozpoczynają od golenia namydlonych baloników, które pękają z hukiem przy nieostrożnym ruchu brzytwy.

KOMUNIKATY



W restauracji w Pittsburgu wywieszono napis: „W wypadku wybuchu atomowego, zachowajcie spokój. Po pierwsze należy przywołać kelnera, po drugie — zapłacić rachunek, po trzecie — udać się szybko do domu”.

Polskie Linie Lotnicze

„LOT”

WARSZAWA, LOTNICKO — OKRĘG
ogłaszają przetarg nieograniczony
na dostawę
1 KONTA I WÓZU DOWIĄZANEGO
OPISZCZĄ
CENA WYKONANIA 1.000.000

W ciągu paru tygodni na łamach warszawskich dzienników powtarzało się to ogłoszenie, świadczące o bezprzykładowym triumfie XX wieku na warszawskim lotnisku. W związku z tym rozszedła się nawet nie sprawdzona pogłoska, że Polskie Towarzystwo Astronautyczne zamierza sprzedać swoją służbą dorozkę.

Tablica na murze elektrowni w Cherbourg. „Dotyknięcie linii wysokiego napięcia grozi bezwarunkowo śmiercią; naruszającym zakaz grozi kara do 18 miesięcy więzienia”.

„Konrad Adenauer, choć ładnie pachnie, wędnie szybko w temperaturze pokojowej” — ogłoszono oficjalnie w Bonn. Chodzi o sprawozdanie na zjeździe ogrodniczym i o gatunek róży, nazwanej imieniem kanclerza NRF.



Maria Lorento z Buenos Aires zgłosiła pretensje do wielomilionowego majątku, zdeponowanego przez Hitlera w Argentynie, twierząc, że jest jego córka.

Sektę przepowiadającą koniec świata, założył sprzedawca pralek domowych w Waldshut (NRF) — Joseph Hassler. Jego wyznawcy przystąpili do budowy arki.

Jedenastu uczniów w Tromsø w Norwegii ogłosiło w gazetach, że szukają nowego nauczyciela do swej szkoły, ponieważ dotychczasowy im nie odpowiada.

Churchill o herbacie: Nie jest smaczna i szkodliwa. Poproszę lepiej o whisky (do stewardessy w samolocie Marsylia—Paryż).

LÖ

POWIEDZIELA

Fredro o ludziach: Zupełnie głupi i zupełnie mądry są nieszkodliwi. Tylko półgłupi i półmądry są niebezpieczni.

Chińczycy o głupocie: Rozum myli się i błądzi, głupota jest nieomylna (przysłowie).

Tristan Bernard o postępie: Jakż mamy postęp i jakie osiągnięcia w niewiedzy!

W Karaczi sąd skazał kupca Mohammeda Ismaila na 15 tysięcy funtów grzywny i 15 uderzeń batem za przemyt juty.

Amerkański sąd wojskowy rozpatrzył sprawę sierżanta George Sowie, oskarżonego o znęcanie się nad rekrutami, którym kazał polżykać banknoty dolarowe.

37 razy karany za pijaństwo James Mc Cormack skazany został przez sąd

NO...

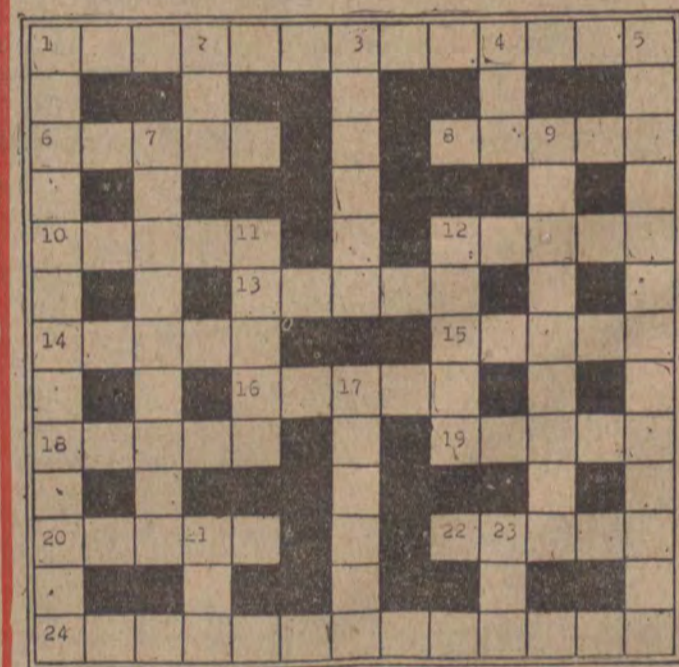
brytyjski w Derby na trzy lata abstynencji. Jego fotografię rozesłano do 415 lokali i sklepów ze sprzedażą alkoholu na terenie Derby. Cormackowi nie wolno pić w całej W. Brytanii, gdyż policja ma wszędzie wysiadywać za nim fotografie.

Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-379 z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 3455. XI. 58. M-4.



Księżniczka
MAŁGORZATA

Plk. PETER
TOWNSEND



ZNACZENIE WYRAZÓW:

Poziomo — 1) Dział elektryki obejmujący zastosowania elektryczności do telekomunikacji, zwany dawniej elektrotechnika prądów stałych, 6) Kraj w Azji (na Bliskim Wschodzie), 8) Początek biegu, 10) Łody z kremem i owocami, 12) Służby do przesiewania, 13) Rzetelne, uczciwe, 14) Czasza, puchar, 15) Ongis, 16) Grupa przedmiotów zupełnie jednakowych lub mających wspólną, łączącą je cechę, 18) Plakat, 19) Sprzet do przenoszenia chorych, 20) Podświadome lub nieswiadome wyobrażenie określonej osoby (np. dobrej lub złej matki), wytworzone we wczesnym dzieciństwie, rzutowane później na inne osoby z otoczenia, 22) Drogie kamienie, 24) Jedna z metod badań w antropologii, polegająca na pomiarach części ciała ludzkiego.

Pionowo — 1) Kierowanie pracą urzędów technicznych

na odległość za pomocą elektryczności, 2) Okres czasu, 3) Utwór muzyczny o charakterze lirycznym, 5) Dział nauki zajmujący się pochodzeniem człowieka, 7) Roślina zielna, niecierpek, 9) Czynniki członka organizacji politycznej lub społecznej, 11) Lobuz paryski, 12) Miasto francuskie nad Mozą, 17) Styl, który powstał we Francji w XVIII wieku, 21) Duży garnek, 23) Termin szachowy.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 37

Poziomo — puszcza, landara, ruletka, „Odgłosy”, Pionowo — Palermo, sinolog, ciastko, ananasy.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. Grzegorz Bogusław Malinowski, Pabianice, ul. Pomiatowskiego 31, 2. Maria Trzcinka, Łódź, ul. J. Dąbrowskiego 28d m. 3.

Racjonalnie wykorzystaj godziny pracy biurowej!



CZY POTRAFISZ



Spróbuj sam! Nadesłane przez Ciebie rysunki, wykonane

na maszynie do pisania, będziemy zamieszczać w tym kąciku.

WYTNIJ - SCHOWAJ!

SENNIK Egipski

DALSZY CIĄG

B.

- Bociany — pomnożenie rodziny. 17, 70.
- Bochenek — dobrobyt. 14.
- Bogactwo — przykry wypadek. 10, 75.
- Bogaty stać się — tajemne przesładowanie. 51, 62.
- Bok własny nagi widzieć — stawianie pijawek. 57.
- Bombę widzieć — lekaj się niespodziewanego huk. 54.
- Borówki jeść — nikczemne intrzygi. 58, 78.
- Bór gesty widzieć — spotkanie się ze złodziejami. 4, 54, 74.
- Brata lub siostrę zdrowego widzieć — zgoda, a umarłych widzieć — długie życie. 24, 34.
- Brazylija, jechać do niej — straty w dobytku. 82.
- Brewiarz czytać — niezastużona kara. 17.
- Brodzić po wodzie — krótkotrwałe utrapienie. 19.
- Broszura — bezowocna praca. 14.
- Brykać, widzieć bydło brykające — wewnętrzne zadowolenie. 77.
- Brzemienna kobieta — pociecha w domu. 21, 43, 61.
- Brzech u kogoś widzieć — obgadany bezdziej. 19.
- Buchalter, być nim — ciężka praca. 34.
- Budynki stare widzieć — pogarda. 12.
- Bufet, być przy nim — niedostatek. 18.
- Bukieciarke całować — kłopoty rodzinne. 77.
- Bulawę widzieć — brzemienne zaszczyty. 3, 17.

Przeważnie dzieje się tak, że żarty rysunkowe jednego karykaturzysty — jeśli jest to karykaturzysta wybitny — posiadają jakąś jednolitą cechę. Czasem będzie to ulubiony temat, często tylko gatunek humoru: trudniejszy lub bardziej komunikatywny, absurdalny lub oparty na codziennych sytuacjach.

Od owej reguły „jednolitości” wyraźnie odstaje francuski rysownik Tetsu. Dziwny to humorysta — jakiś rozdwojony. Z jednej strony prezentuje się jako twórca o pomysłach kapitalnych, godnych wielkiego Steinberga, z drugiej zaś — potrafi publikować dość tużinkowe żarty o zdradach małżeńskich i rozegranych kociakach.

Zresztą i tak nie zbywa Francuzowi na popularności. Być może nawet, że więcej zwolenników jedną mu

Najostrzejsze ołówki świata TETSU albo dwa oblicza humorysty

łatwe dowcipy „łózkowe”, niż absurdalne żarty bez podpisu. Niesposób więc ferować tu jakieś sądy, narzucać komuś swoje gusty, co w sprawach komizmu jest zawsze przedsięwzięciem dość ryzykownym. Załączony wybór rysunków pokazuje zatem dwa oblicza karykaturzysty.

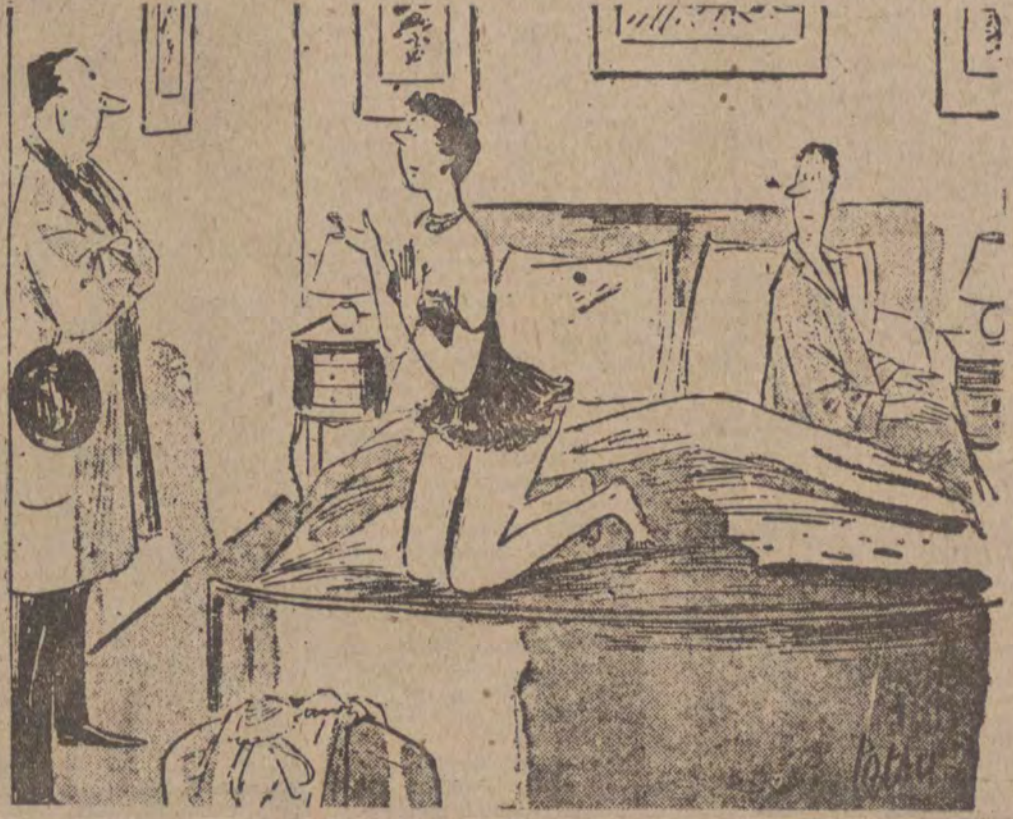
Wydaje się jednak, że za usługi Tetsu dla współczesnej karykatury francuskiej są efektem właśnie owych wyrafinowanych żartów bez słów, a nie frywolnych anegdotek. Ostatecznie pro-

blemy małżeńskiej wierności zostały już przez humorystów mocno wyeksploatowane — i trudno tu powiedzieć coś nowego.

To jest oczywiście osobista opinia piszącego te słowa. Możliwe, że Tetsu, który jest rysownikiem młodym, lecz już recenzowanym przez poważne pisma w rodzaju „Arts-Spectacles” — dopiero szuka swego genre'u. Możliwe też, że żarty absurdalne zaspokajają jego wyższe aspiracje, a dowcipy frywolne — ambicje materialne... J. W.



— Wszystko to bardzo ładnie, doktorze, ale wypisz mi pan receptę na Ubezpieczalnię, prawda?



— Ależ ty się mylisz, Maurycy, my mieszkamy piętro wyżej.

KĄCIK

dla abstynentów

Diuga jest lista przewinień wina:

Wódz biblijny, asyryjski, Holofernes, dał sobie po pijanemu urządzić głowę, gdy „stał się ku Judycie bardzo wesoly i pił bardzo wiele wina”; król babiloński Baltazar, bardzo rozpowszechniony przez Tadeusza Brzecz w powieści „Uczta Baltazara”, rozpowszechniony przez Rubensa w obrazie pod tytułem „Uczta Baltazara”, z kolei mającego być rozpowszechnianym wśród zagranicznych kunsthandlów przez pośredników Potockiego, po pijanemu zdobywał się na świętokradzkie użycie naczyń złupionych w świątyni jerozolimskiej przez Nebukadnezara; Aleksander Wielki kończy sromotnie na ostre zapalenie wątroby; Anakreont nie staje się Homerem swoich czasów, lecz w hulawczych kupletach kończy swą błyskotliwą karierę literacką; Sokrates nie pisze ani jednego filozoficznego dzieła, lecz pozwala się opisać Platonowi w „Sympozjone” czyli „Biesiadzie”; Aretino pisuje niemądre książki typu „Jak Nanna swą córeczkę Pipę za kurtyzanę wykształca” i umiera ze śmiechu; Piotr Wielki dostaje ataków epileptycznych; wynalazca mikroskopu, Leeuwenhoek, zapija się haniebnie ciężkimi holenderskimi piwami — zamiast wynaleźć większą ilość mikroskopów, wynajduje tylko jeden; August Mocny (w przypływie opilego apetytu) każe podawać do stołu potrawki z pijawek lekarskich, tuczonych krwią żywych gęsi...

Dalszy ciąg w nast. nrze.

Dziś w KABARECIE BAZARU

śpiewa: CHARLIE CHAPLIN

piosenkę pt.

TITINE

Słowa Willy Muzyka Leon Daniderffa

I.
W Paryżu pewien muzyk młody,
Co w biedzie żył od wielu lat,
Za głosem idąc nowej mody,
Raz przy pianinie sobie siadł.
I od niechcenia skomponował
Piosenkę dla najdroższej swej
I rzekł: „Oto piosenka nowa,
Więc dziś ją jeszcze śpiewać chciej”.
Tej nocy cały Moulin Rouge
Z pieśniarką nową nucił już:

Nazywam się Titine,
Titine, ach, Titine,
Kto poznał tę dziewczynę,
Pokochać musi ją.
Pragnienie ma jedyne
Titine, ach, Titine
Mieć szczęścia odrobine,
Mieć pierwszą miłość swą.
A-a-a!
A-a-a!



LUNAPARK

30 listopada
Andrzeja.



Zwiększanie się zasobów wody gruntowej pod obiektami zabytowymi i mieszkalnymi. Dalsza zadania działalności rdzy w zbrojeniach żelazobetonowych budowli przy ul. Narutowicza. Rozmiękanie tynków i kamieni wapiennych. Ożywiony przyrost naturalny migdałków i odpadanie podeszew gumowych. Ischiasy, podagra, choragry i wszelkie barometry stawowe nie zawieszają swej ożywiającej działalności. W tym tygodniu obowiązuje przysłowie „Na jakie-

go Andrzeja sobie pociesiesz, z takim się wypisz”



EROTYZM W FILMIE

Fragment nie nagrodzonego w Wenecji filmu „Trędowna”. Dalszy ciąg pojedynku zmysłów, rozegranego pomiędzy kamerdynerem Bombą a byłą ordynatową Stefanią.

STEFANIA: Haftka mi trzaśła przy peniuarze.
BOMBA:?!
STEFANIA:!!
BOMBA:??!!
STEFANIA:!!!
BOMBA (rozścielając koc): A dyć ino!
STEFANIA: Ze łap, ino, fioletku leśny, czemu ześ się nie rozwinął wcześniej?



(Przez rozplamieniałą ekran panoramiczny biegną grzywiaste litery napisu: I tak po rozkopanych falach ugorów PGR wciąż snują się koparki mechaniczne, ale miłość to nieustająca symfonia dusz, to jedno — „stać się, co się stać musiało”, to — piąta symfonia urodzonego w Bonn, to Symfonia „Przeznaczenia”).

Horoskopy Lunaparku

Urodzony dnia 30 listopada lub zmieniać miejsce pobytu chociażby nawet nie był szoferem, konduktorem, stewardesą, kapitanem statku, Dullesem czy innym turystą dyplomatycznym: pięciu minut nie może usiedzieć spokojnie w miejscu; najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem się mieni, gdy tych pięciu minut spokojnie nie usiedzi; jednocześnie posiada dwie różne natury, z których jedna mówi: czarne, druga: białe, jedna mówi: pipka, druga: — rybka. Jako człowiek mówiący dwoma językami, do wielkich stanowisk dojdzie i zawsze będzie lubiany w świecie.

CZEGO SIĘ STRZEC WINIEN?

Nagłych a niespodziewanych odwiedzin, zmiany pieniędzy, filmów o tematyce wojennej, przeziębienia, płaszczów igelitowych pojazdów mechanicznych, złodziei, psów łańcuchowych, ości w wędlinach.

oraz ANZELM KUSTYK prezentuje sposób połykania ognia

Do zwyczajnej kupnej gupala i zjada, wciągając w siebie lekko powietrze przy włożeniu mięsa do ust. Sztukę tę można wykonać bez żadnej obawy. Po eksperymencie należy wypluć usta ciepłą wodą.

Odpowiedzi redakcji

USTECZKA ZAMIAST ROZPYLACZY

Aniela Polowicz, Kraków. Słuszną uwagę zwróciła Pani fryzjerce, która nabrała wody do ust i zraszała Pani ondulowany kok, korzystając z chwilowej jej nieuwagi. Nie miała racji fryzjerka, powołując się na rzymskie

swe włosy wyciągłem z majeranku, kolana i szyję nacierają — olejkami macierankowym, rączki napawaly — zapachem skórki z jabłek. Rzymianie nasycali perfumami domy i grobowce.



niewolnice, które używając swych usteczek jako rozpylaczy opryskiwały wodami toaletowymi farbowane główki swych pań. Oczywiście, ma Pani rację, twierdząc, że pomiędzy zapachem Fleur d'Orangees a wonią wydzielaną przez majerankę i listki bobkowe winna być jakaś różnica. Tak jest. Starożytnie Greczynki perfumowały

NOWOCZESNE ANDRZEJKI

Magda Powielacz, Częstochowa. Do wrożenia w wigilię Andrzeja służyć może każdy stop metalu, nawet i kompozycje stalowe. Do wrożenia z metali i szkła konieczna jest huta z jej urządzeniami. Jeśli posiada Pani znajomego lincotypistę, kłopoty z przetapianiem ołowiu odpadają. Nie radzimy natomiast przetapiać nieodbezpieczonych pocisków artyleryjskich i urządzeń pod napięciem. To samo wieszczce znaczenie posiada męska bielizna bawełniana, co i nylonowa. Łatwiej oczywicie o obfite sny, gdy bielizna męska jest używana, ale uprzednio prana.

Lunapark redaguje Zygmunt Fijas Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować „Odgłosy” z adnotacją: „Dla Lunaparku”.



Zdjęcie z filmu reklamowego

fol. Eugeniusz Kwaśnik.

EDWARD ETLER

Gość z zaświatów

Jeszcze raz to samo. Jeszcze raz dwaj panowie, niezwykle do siebie podobni (znany motyw filmów „przedwojennych”), i znów pani (uwaga: nieodłączna pointa!), która się myli. Jeden z panów kocha panią — ale bez wzajemności. Dopiero przybycie drugiego pana zyskuje mu ukochaną, bo ów przybysz potrafi ją nader prędko oczarować i... odchodzi, zostawiając panu nr 1 pełne pole dalszego popisu. Panią jest Françoise Arnoul (kelnerka Marinette), panem nr 1 (pianista Julien Barere) — popularny piosenkarz paryski Gilbert Becaud a panem nr 2 (owym tajemniczym Perceval) — także Gilbert Becaud. Bajka nosi tytuł „Gość z zaświatów” (w oryginalnie „Le pays d’ou je viens” — czyli „Świat z którego przybywam”), a wszystko wymyślił i zrealizował twórca „Komediantów” i „Hotelu du Nord” — Marcel Carne, przy współpracy scenarzystów Marcela Acharda i Jacquesa Emanuela.

„Gość z zaświatów”, to jeden z tych dość niezwykłych filmów, które nie noszą piętnej „filmu artystycznego”, a wzamian za to przesząc bałalem — potrafią zarazem ująć widza czymś nieokreślonym. Może humorem sytuacyjnym i beztróską, a może walorami kamowy rozrywkowej i nastrojem pogodnej bajki? Nie wiem. W każdym razie jedno nie ulega kwestii. Spróbujmy swojego bohatera nie wiadomo skąd, wyprowadzając go na szosę z oszereżonego pola — znalazł Marcel Carne moment uroczego zawiązania akcji. I tak od razu następuje odrealnienie całej anegdoty, zamkniętej równie pomysłem identycznym odejściem bohatera. Poza tym inna jeszcze rzecz decyduje o

charakterze filmu. Myślę o „pomieszaniu” postaci — reprezentujących dwa światy: świat codziennych trosk Marinette, świat najbardziej realny, i ów drugi świat, ten nie wiadomo jaki, gdzie ubrany na czerwono senor Perceval — trochę jak się zdaje zdziży — tęskni za swoim siostrzeńcem. A więc wuj Perceval i jego świat, a nawet ta zabłociona limuzyna, którą ścigają zbiega, a z drugiej strony knajpa, gdzie nieśmiały pianista kocha kelnerkę, a dzieci czekają na przyjście św. Mikołaja. Carne zbudował to zrecznia,

Ale w szukaniu podłoża logicznych dla rzeczy dziejących się na ekranie — kryje się zasadnicze niebezpieczeństwo. Jeszcze chwila, a zdziwimy się, że Gilbert Becaud rozpoczyna swoje występy częstokroć bez powodu, ani jakiegokolwiek — choćby najbardziej blagiego uzasadnienia. O ile ciekawiej wplótł Rene Clair (w filmie „Porte des Lilas”) piosenki Brassens! Przerwijmy więc w porę dociekania, zostawiając jedynie uwagę: — gdy komuś jest smutno, a lubi bajki, piosenki i kawałek stript — tease’u, to „Gość z zaświatów” nadaje się wówczas jak żaden. Zwolennikom filmów z tezą ideową, artystyczną albo filozoficzną — nie sposób polecać tego filmu. Oni nawet zaświaty wyobrażają sobie inaczej niż Carne.



KONIEC KRÓLESTWA CHAOSU?

Coraz to spotykamy na ekranie okropną reklamówkę, okaz absolutnej nieporadności twórczej. Wystarczy przypomnieć wyświetlany w Łodzi „film reklamowy” o PDT... Ale ostatnio doszła nas wieść, iż coś się zmieniło na lepsze. Widomym tego objawem jest choćby powstanie Punktu Usług Filmowych, obsługiwane przez absolwentów PWSF, a także studentów lat starszych. Rozmawiamy na ten temat z p. Eugeniuszem Kwaśnikiem, szefem nowopowstałej placówki.

Czy Wasza praca ogranicza się tylko do filmów reklamowych?

— Nie — odpowiada p. Kwaśnik — Myślimy także o nakręcaniu filmów dokumentalnych, z tym jednak, że na warsztacie naszym znalazłyby się tematy nie podejmowane przez warszawską WFD. Ale w centrum naszego zainteresowania leżą przede wszystkim

reklamówki. Może dlatego, że będąc latem tego roku w Paryżu udeło mi się zobaczyć, jak wygląda reklama filmowa na Zachodzie... Są to rzeczy robione zgrabnie i wesoło, w przeciwieństwie do filmów, które napotykałyśmy u nas, robionych źle pod względem filmowym, nudnych, traktowanych ze zwierzęcą powagą, a co najgorsze — wykony-

wanych anonimowo i to najczęściej przez amatorów. A jak wygląda Wasza polityka zatrudnienia?

— Możliwość zrobienia filmu w naszym ośrodku, to dla absolwenta PWSF nie tylko pomoc materialna, ale także doskonałe warsztatowe, zapobieżenie wtórnemu analfabetyzmowi, który nieuchronnie czeka ludzi, którzy skończyli studia, a nie

mają szans na samodzielne wykonywanie pracy, a nawet, pełnienie w kinematografii funkcji pomocniczych. Wydaje mi się, że w filmie reklamowym bądź dokumentalnym z równym powodzeniem realizowane być mogą także czy inne granienia albo tęsknoty artystyczne młodych i ambitnych ludzi. I to chyba najlepiej gwarantuje odpowiedni poziom wykonywanych prac...

Dobrze, to wszystko wygląda bardzo ciekawie. Ale dlaczego nikt nie wie o Waszym istnieniu? Jak to się dzieje, że w dalszym ciągu filmy reklamowe wykonywane są przez osoby

przypadkowe, brane z ulicy, względnie przez filmowców — amatorów, mających nieduże pojęcie o specyfice filmu reklamowego?

— No cóż, jesteśmy placówką młodą, liczącą sobie raptem dwa miesiące istnienia. A przecież ustawienie struktury organizacyjnej całej imprezy wymagało wiele zabiegów, zezwoleń itp. I pragnę tu dodać, że jesteśmy bardzo zobowiązani Rektora’owi PWSF i działowi produkcji tej uczelni (w osobie dyr. Zygmunta Króla) za poparcie naszych zamiarów i udzielenie nam konkretnej pomocy. Niemalą zasługę położyła także w tym zakresie Rada Okregowa

Zrzeszenia Studentów Polskich w Łodzi.

A więc produkcja może się już toczyć pełną parą, ale niech Pan wytłumaczy jeszcze, w jaki sposób ewentualny elektorat, czyli innymi słowy instytucja nosząca się z zamiarem zrealizowania filmu może dotrzeć do Was, bez obawy wpadnięcia w ręce na wstępnie szpony hochsztaplerów?

— Na razie — odpowiada pan Kwaśnik — gościem Rada Okregowa Zrzeszenia Studentów Polskich udzieliła nam schronienia w swoim gmachu, przy ul. Piotrkowskiej 77, i urzędujemy tam pod telefonem nr 394-31.

Za tydzień: „Co gwiazdy sądzą o nudyźmie”

Widziałem „Zamach”

Widziałem „Zamach” — najnowszy film produkcji polskiej, film znowu sięgający tematyką do okresu okupacji. O ile jednak w filmie Andrzeja Wajdy („Popiół i diament”) znacząca się wysunięta za znacząca się wysunięta za pierwszy plan koncepcja filozoficzna rzecz (w najprostszym pojęciu tego słowa „film dawał do myślenia”), tak „Zamach” jest filmem w sensie przysłowiowym, gdzie jest pewna ilość huku nieodłącznego przy częstym strzelaniu, i trochę miłości.

Ale powiązanie „Zamachu” z rodzajem filmów cowbojskich — musi się wydać pozorne. Przecież w filmach cowbojskich, jako też w każdym obrazach sensacyjnych (rzecz jasna — mam na myśli jedynie filmy zrobione prawidłowo), przynajmniej podstawowa rzecz zawsze opracowana jest bez zarzutu. Oczywiście chodzi mi o „prawdziwość” wszelkich atrakcji pirotechnicznych. Gdy bohater filmu cowbojskiego strzela do swego wroga, a wiemy skądinąd, że dysponuje przy tym w swoim re-

wolwerze np. pięcioma nabywkami, wtedy z głośnika umieszczonego pod ekranem usłyszymy najwyższą pięć strzałów. Bo ktoś te strzały liczy i uważa, żeby nie palnąć najbardziej oczywistej gafy.

Niestety, nikt nie liczył strzałów w „Zamachu” i nikt nie zwrócił się o to, żeby chociaż część wydarzeniowa filmu odpowiadała jakimś realnym możliwościom.

Oczywiście trzeba przyjąć wyjaśnienia realizatorów, że akcja „Zamachu” tylko w najogólniejszej mierze opiera się na słynnym w swoim czasie, autentycznym zamachu na Kutsche-

re. Tutaj nie chodzi o prawdziwość czy autentyzm poszczególnych faktów, chodzi tylko o fikcję, której obecność i natężenie przeszkadza w oglądaniu filmu. Młodzi bohaterowie „Zamachu” strzelają bez celowania „z biodra”, opierając „Steny” na brzuchu — i każde dziecko na widowni domyśla się, że w ten sposób nie trafiliby nawet w słońca. Jeszcze komiczniej wyglądają rzuty granatami, wykonywane bez wysiłku, jakby od niechcenia, a jednak granaty przelatują swoje dwieście metrów (!) i padają akurat tam gdzie trzeba.

Te rzeczy byłyby w za-

sadzie mało ważne, gdyby „Zamach” był innym filmem. Ale niestety — jedynie część „zamachowa” tego obrazu zdoła wprowadzić na widownię trochę ożywienia. Bo nie drętwe dialogi, nie dłużyzny, w których celuje „Zamach”, nie jego aktorskie klapy i nie fakt absolutnej niespodzianki, którą widzom przygotował w finale Jerzy Passendorfer — reżyser tego filmu. Oto — gdy wszystko znalazło już swoje zakończenie — to najważniejsza bodaj kwestia zostaje tajemnicą autorów. I widzi nigdy się nie dowie, jaki los czekał rannych w akcji zamachowców, czy zostali

schwytni przez Niemców? Czy też dokonali żywota w szpitalu? W zamian za to, nie udzielając odpowiedzi na pytanie — film kończy się nastrojowym obrazkiem przedstawiającym innych, ociałych bojowców, w porannej mgiełce wyruszających — jak się zdaje — na następną akcję.

Jest w „Zamachu” kilka fragmentów zrobionych pomysłowo i zgranie, jest też w filmie tym niezła momentami fotografia. Dlatego tym bardziej żal, że ta najbliższa premiera nie zapowiada się arcyciekawie i w jakimś stopniu zawodzi nasze pochopne oczekiwania.

ELZET